

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Nr 47 (195) Cena 1 zł
Rok IV. ŁÓDŹ, 26 listopada 1961 r.

REPORTERZY „ODGŁOSÓW” WŚRÓD CZYTELNIKÓW

WRAŻENIA Z

RUMUNII — Wiesław Jazdzyński	2.XII
AFRYKI ZACH. — Mirosław Azembki	5.XII
NRF — Jerzy Łańcut	9.XII
ANGLII — Jarosław M. Rymkiewicz	19.XII

Wszystkie spotkania odbędą się w sali odczytowej Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki — Łódź Piotrkowska nr 86 o godz. 19



Fragment sanatorium w Rabce

Fot. CAF

IRENA DRYLL

RABKA jest dla DZIECI

To świetnie, że mamy Rabkę. Ale szczęściem byłoby, abyśmy nie musieli mieć Rabki. Bo w Polsce — proszę państwa — są chore, poważnie chore dzieci. Ci, którzy mówią „dziecięcy raj — Rabka” widocznie nigdy nie cierpieli i nie chorowali. Trudno do razu przyrównywać miejsce, gdzie miesiącami zdobywa się szansę normalnego życia — bez ataków astmy, alergii, cukrzycowej śpiączki, gruźlicy... Być w Rabce po to by się leczyć — to nie szczęście, a szczęście w nieszczęściu.

Miejscowość uzdrowskowa inaczej się jawi choremu, inaczej zdrowemu. Chory chce przede wszystkim wiedzieć, czy tu mu pomoże. Mniej ważne jest piękno okolicy, marginesowa sprawa rozrywek. Gdyby wiedział, że w najobrzydlivszym i najsmutniejszym miejscu świata wyzdrowieje na pewno, pojechałby tam z rozkoszą. Zdrowego interesuje przede wszystkim, gdzie będzie spał, ce będzie jadł, na co patrzył.

I tak się dzieje niezależnie od wieku. Choroba wywołuje identyczną chęć u starca i

dziecka — chęć wyzwolenia się z niej. Rabczanski mały pacjent na pytanie: jak ci tu jest? odpowie najpierw: czuję się lepiej.

Świat Rabki jest światem chorych. Ale ponieważ muszą w nim uczestniczyć i zdrowi, oba światy przenikają się wzajemnie. Problemy jednego wpływają i kształtują się pod wpływem drugiego.

PRAWDA — TO SANATORIA

Myślę, że widziałam za dużo i stąd te rozważania. Gdybym mieszkała spokojnie, w przy-

jemnej willi, spacerowała wdychając na pudy „dobre powietrze”, inhalowała profilaktycznie, pozostałby inny obraz Rabki. Złoto-zielone, szeleszczące liśćmi, oświetlone jesiennym, łagodnym słońcem. Z widokiem przepyszny na Lubią, Grzebień i Turbacz, z dziećmi spacerującymi po pięknym parku pod okiem czułych wychowawczyń. Z dziećmi uśmiechniętymi...

Ale prawda Rabki to sanatoria.

Przedsiębiorstwo Państwowe „Uzdrowiska” dysponuje 6 sanatoriami o 413 łóżkach. Dyrekcja ośrodka sanatoryjno-prewencyjnego — 1320 łóżkami. Sanatorium im. Pstrowskiego — 665, a sanatorium im. Nowotki zwane popularnie „Łotos” — 442.

W sanatoriach „Uzdrowiska” leczą się dzieci astmatyczne, alergiczne, z przewlekłymi schorzeniami dróg oddechowych, chore na cukrzycę. Jak wykazało wieloletnie doświadczenie, klimat Rabki i jej solanki jodowo-bromowe nadają się szczególnie dobrze do leczenia tych wad ustrojowych i chorób powstałych na ich podłożu.

10 proc. ludzi cierpi na alergię, 90.000 ludzi w Polsce ma katar alergiczny. Co siódme dziecko jest alergiczne. Turnus trwa 3 miesiące. Wobec braku miejsc w Rabce trzeba czekać na te trzy miesiące czasami i trzy lata...

Cale życie sanatoryjne jest tak zorganizowane, żeby wykorzystać i klimat i źródło. W każdym sanatorium — solanki, inhalatoria, kwarcówki, soluxy itp. Fizykoterapia, światłolecznictwo, farmakologia, dietetyka, pedagogika — czuwają nad pacjentami. Żeby ustąpiły zmiany w drogach oddechowych, w układzie chłonnym, na skórze, żeby poprawił się obraz ogólny, wzmożła odporność itd. Słowem robi się co można, aby dziecko wyzwolić z choroby i wyniki są dobre.

Byłam w kilku „Orłach” — wszystkie sześć sanatoriów „Uzdrowiska” noszą to miano. „Orzeł V” skupia kilkadziesiąt dzieci do lat 7.

Trzeba było podwyższyć podłogę w WC żeby mogły sięgnąć... pupa. Czystość — purytańska. Podłoga — lustro, koce w kostkę, jak w wojsku. Jadalnia z bawialnią. Małe krzeselka, stoliczki, każde ma zabawkę, każde ma ręcznik, kubek do zębów oznaczony ulubionym zwierzątkiem, kwiatkiem... Ładnie wyglądają, wesoło. „Tu w Rabce czujemy się lepiej”.

Wśród sanatoriów DOSP — gdzie leczą się wszyscy — w stacji gruźlicy od 0 do 16 lat znajduje się oddział torakochirurgii — jedyny w kraju. Skupia ciężkie przypadki schorzeń narządów oddechowych, gruźlicy, rozstrzenia oskrzeli, marskości płuc. Od 1956 roku wykonano około 500 resekcji tkanek płucnej.

ROMAN
ŁOBODA

Na Lelewela łódki płyną

Otóż i Łódź, pomyślałem idąc w górę Narutowicza, — przecież niebrzydkie miasto. — Później pojechałem tramwajem na Aleje Kościuszki do „Bratniaka”. — Przecież ładne miasto. A kto powiedział, że takie brudne, ponure i zaniedbane?

— Jaj! Ja panu mówię, że cała Łódź taka. Ani wody, ani kanalizacji... szczęście, że jeszcze światło, jak pan widzi, w domach. Idź pan na Widzew, na Polesie; a na Bałuty to nie radzę samemu, bo możesz pan w błocie utonąć bez świadka. Błoto, gruz, komórki i rudery. — Odśapnął. — Paniel Na Chojnach to jeszcze przy Bałutach pałace. — Mrugnął do mnie porozumiewawczo. Odwrócił się od lady, otworzył drzwi i zawołał w głąb mieszkania:

— Zośka! Zośka! Zaprowadź pana do Radzikowej. Tam jest stacja do wynajęcia.

I tak zostałem na Chojnach.

To jest charakterystyczne i chyba nieprzypadkowe, że przeszło siedemset tysięcy miasto w okresie międzywojennym nie posiadało ani jednej wyższej uczelni — mówi stara nauczycielka z Chojen.

— Chojny miały powietrze.

Jeszcze jakie powietrze! Ulica Grabowa, Dębowa, Brzozowa, Sośnowa, panie — mówi stary woźny ze szkoły im. Słowackiego — jak sama nazwa wskazuje. Chojny i tyle. Krok do lasu i wracasz pan z choinką. Fabryka a wokółutko zboże.

— Kiedy to było? — pytam.

— A jeszcze przed pierwszą wojną światową.

— Ba, a później?

— Później na tych moczarach zbudowali szkołę.

— Pan tu jest od początku?

— A jakże. W prezydium pracuję od trzydziestu lat.

— I dobrze.

— Różnie, ale nie narzekam. Syn inżynier, córka doktor.

— Też do tej szkoły chodzili?

— Syn chodził. Jeszcze przed wojną. Tu paru łódzian tylko na ławkach wycierało: Rejniak, Broniarczyk, Nowakowski. Za dyrektora Bilskiego i Sasa. Drużyna harcerska była, ale kazali roz-

Dalszy ciąg

na str. 6



Dalszy
ciąg
na str. 9

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

Prof. dr. Konradem Jażdżewskim
kierownikiem Katedry Archeologii
Polski U.Ł.



- WENEDZKICH PRAOJCACH ŁÓDZIAN,
- ZABYTEKACH ZAURALSKICH W... LUTOMIERSKU,
- HISTORII W ROLI SWATKI,
- PRADZIEJOWYCH ZŁODZIEJACH ZNAJ BZURY.

— Od jak dawna zajmuje się Pan Profesor archeologią?

— Od 1924 roku, kiedy to jeszcze jako uczeń, pod kierownictwem prof. dr. J. Kostrzewskiego, powszechnie znanego nestora polskiej archeologii, jeździłem na wykopaliska po Wielkopolsce. Te mu mojemu „hobby” z lat młodości pozostałem wierny po dzień dzisiejszy.

— Utało się mniemanie o elitarności funkcji archeologii, o jej oderwaniu od codziennego życia współczesnego. Czy faktycznie jest to nauka dnia wczorajszego?

— Każda nauka może być wykorzystana dla różnych celów. Czy zdziwi się Pani, gdy powiem, że właśnie archeologia jest jak najbardziej związana z życiem, że jej badania służą jak najbardziej współczesności?

— Myśli Pan o politycznej funkcji archeologii?

— To określenie nie jest ścisłe, ani też zbyt trafne. Myślę raczej o jej stałej rosnącej roli w odtwarzaniu dziejów najdawniejszych części naszej ziemi.

— Jaki jest w tym udział archeologii łódzkiej? Chodzi mi o działalność naukową łódzkiego ośrodka.

— Zespół archeologów łódzkich postanowił wśród szeregu zadań, które sobie postawił, prześledzić na celowo ograniczonym, niewielkim obszarze w dolinie Neru zagadnienie ciągłości osadnictwa na przestrzeni kilku tysięcy lat. Jest to ważne zadanie, gdyż ciągłość osadnictwa słowiańskiego na ziemiach polskich była negowana przez przedstawicieli kierunku, któremu przed ostatnią wojną patronował osławiony berliński profesor archeologii — Gustaw Kossinna, znany ze swych szowinistycznych tendencji.

— Jakie są naukowe kontrargumenty przeciwko tym teoriom?

— Archeolodzy o wspomnianym tendencyjnym nastawieniu antysłowiańskim lansowali tezę, o kilkakrotnej całkowitej zmianie zaludnienia tych ziem oraz o stosunkowo późnym pojawieniu się tutaj Słowian. Szczegółowe badania archeologów polskich, a wśród nich i łódzkich dowodnie przeczą temu wykazując wyraźną ciągłość w rozwoju kultury i zaludnienia na naszych ziemiach. Od epoki brązu aż do czasów oświetlonych już źródłami piśmiennymi, pełno na tych ziemiach śladów kolejnych etapów rozwojowych, najpierw kultury słowiańskiej, „łuzyckiej”, później „wschodnio-pomorskiej” oraz z kolei „wenedzkiej”. (Tu należy dodać, że Wenedowie to jedna z nazw używana przez pisarzy starożytności na oznaczenie Słowian w okresie rzymskim tj. w pierwszych czterech wiekach n.e.). Nie trzeba chyba przypominać, że w pismach Tacyty, Pliniusza i Ptolemeusza z I i II wieku n. e. mowa jest o Wenedach jako o wielkim ludzie mieszkającym w dorzeczu Wisły. W VI w. n. e. i później występują oni pod tą nazwą na tym samym obszarze.

— A więc Wenedowie byli także na Ziemi Łódzkiej?

— Posłużyła się pani określeniem wprawdzie nieścisłym, ale nie pozbawionym pewnej racji. Wenedowie żyli w regionie łódzkim choć niewątpliwie o czasach odleglejszych należałoby raczej używać nazw historycznych tj. ziem Łęczyckiej i Sieradzkiej.

— My łódzianie w porównaniu z krakowianami czy warszawianami cierpimy na kompleksy wyrosłe z historycznej młodości miasta. Z braku, że się tak wyrażę, daleko w głąb wieków sięgającej przeszłości historycznej regionu łódzkiego. Może archeologia ma na to jakieś lekarstwo?

— W obrębie regionu łódzkiego ziemie położone w dolinie Neru odgrywały w pradziejach dość poważną rolę. Pozostały do dziś liczne ślady osadnictwa z różnych epok, które badane w ciągu kilkunastu lat przez nasz Ośrodek mówią o wysoce ciekawej prehistorii i historii tego regionu. I tak np. natrafiliśmy w podłódzkim Lutomiersku na szereg osad i cmentarzy z różnych epok i różnych kultur: trzcinieckiej z I połowy II tysiąclecia przed n. e., łuzyckiej z początku I tysiąclecia przed n. e., wschodnio-pomorskiej z połowy tego tysiąclecia, wenedzkiej z I połowy pierwszego tysiąclecia n. e. i prapolskiej.

— Tak jak na pozostałych ziemiach polskich występuje tu począwszy od VII wieku wyraźna stabilizacja osadnictwa słowiańskiego. Powstają wtedy i w stuleciach następnych w regionie łódzkim pierwsze załogi ośrodków politycznych, jakichś małych jednostek terytorialnych. Są nimi małe gródki obronne np. w Szydłowie nad Nerem, najstarszy gród w Tumie pod Łęczycą, w Czerchowiu pod Ożorkowem oraz Mniechowie pod Sieradzą. Gródki te stopniowo ulegają likwidacji, aby w początkach XI i XII wieku ustąpiły miejsca większym ośrodkom politycznym uzależnionym od Wielkopolski.

— Można więc powiedzieć, że pewna zbieżność różnych cech mieszkańców regionu łódzkiego i Wielkopolski to historyczny atawizm?

— W takim postawieniu sprawy jest duża dowolność. Wolno nam tylko z pewną dozą ostrożności wysuwać hipotezę, że w końcu IX lub pierwszej połowie X wieku Polska środkowa została oparowana przez stale rozrastające się państwo plemienne Polan Wielkopolskich. W każdym razie warto pamiętać, że w początkach panowania Bolesława Krzywoustego Łęczyca była granicznym grodem Wielkopolski w kierunku Mazowsza.

— Czyba się nie myli jeśli powiem, że to połączenie kultury mazowieckiej i wielkopolskiej znajduje po dzień swój wyraz w obyczajach mieszkańców regionu łódzkiego?

— Odpowiedź na to zostawmy etnografom jako bardziej kompetentnym w tej sprawie. Mogę pani tylko powiedzieć, że już bez mała przed tysiącem lat region łódzki był terenem, na którym pojawili się przedstawiciele obcych kultur niekiedy z odległych stron. W Lutomiersku np. mamy najbogatsze w Polsce cmentarzysko wczesno-średniowieczne z czasów Bolesława Chrobrego. Odkryliśmy tam około 150 grobów, w których obok zabytków polskich występują także zabytki ruskie, niektóre nawet z Uralu (groby jeździeckie z bogatymi rzędami końskimi, dość obficie wyposażone w broń).

— To co Pan Profesor mówi dowodzi znacznego zasługu na badania naukowe archeologów łódzkich. Jakiej misji zajmuje Łódzki Ośrodek w archeologii krajowej?

— Jest chyba jakimś trzecim po Warszawie i Poznaniu. Prace nasze nie ograniczają się tylko do osadnictwa w dolinie Neru, ale badamy również problem osadnictwa pewnych gmin germańskich, głównie Gotów i Gepidów na ziemiach polskich. Od szeregu lat prowadzimy w tym celu badania w Węsiarach w powiecie kartuskim. W badaniach tych uczestniżył mój dr. Jerzy Kmiecński — adiunkt Zakładu poważnie zakwestionował udział Gotów w tworzeniu kultur lokalnych na terenie Pomorza Wschodniego.

— Który okres historyczny jest dla regionu łódzkiego najciekawszy?

— Chyba okres rzymski, to jest pierwsze cztery wieki naszej ery. W tym czasie przechodzi przez nasze ziemie odgałęzienie słynnego szlaku bursztynowego. Nasi pradziadkowie korzystali wówczas z dość obfitych pokładów darniowej rudy żelaznej i z solanek, występujących na ziemiach regionu łódzkiego. Z eksportu nadwyżek produkcji żelaza i soli można było pokryć import towarów luksusowych z obszaru imperium rzymskiego. W tych czasach region łęczycki był jednym z najważniejszych importatorów tych towarów w Polsce.

— Czyżby eleganci łódzkie odziedziczyli zamilowanie do zagranicznych cacuszek po swych prababkach z okresu rzymskiego?

— O tym nauka milczy, ale na marginesie jej można snuć i takie domysły. W każdym bądź razie wykopaliska wskazują na obecność w obrębie wielu cmentarzy i osad naszego regionu sporą ilość cennych naczyń z delikatnej gliny, kunsztownie wytłaczanych i zdobionych tzw. „terra sigillata”, naczyń szklanych, brązowych i srebrnych. Część tego można obejrzeć w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi przy placu Wolności.

— A jakie jeszcze inne zabytki z tych czasów zasługują na większą uwagę w okolicach Łodzi?

— Są to bogato wyposażone książęce groby z I i II wieku, odkryte w Łęgu Piekarskim nad górną Wartą oraz wielki kurhan, też książęcy, w Głodzinówku w pow. łęczyckim, obrabowany na pograniczu IV i V wieku przez pradziejowych złodziei.

— Teraz Pan Profesor dopuścił się chyba dowolności... Ależ droga Pani! To nie dowolność, lecz fakt! Proszę mi wierzyć! Epoki się zmieniają i ludzie wraz z nimi. Ale pewne ich cechy są — jak widać — niezmienne silnie zakorzenione.

— Rozm. K. WYRZYKOWSKA

TADEUSZ SABARA

Po drugiej stronie rampy

Pragnę gorąco podziękować dr. J. Kadzielskiemu za udostępnienie mi — dotychczas nigdzie nie opublikowanych i będących w trakcie opracowania — Jego materiałów badawczych, ankiet i sprawozdań. Dane te posłużyły mi za podstawę niniejszego artykułu.

Jakże różne są widownie, które poznaje aktor w czasie gry na scenie! Różna też jest „duża zbiorowa” tych, którzy znajdują się po drugiej stronie rampy. Wśród różnych widowni można jednak wyodrębnić trzy zasadnicze.

I tak — widownia na premierze jest „chłodna”, bo też jej odbiór ma charakter bardziej intelektualny. Ona wszystko rozumie i z dystansem ocenia. Nie jest rzeczą łatwą przełamać dystansu widowni premierowej, żeby zapomnieć o dzielącej nas rampie i wzruszyła się. Na widowni: krytyka, prasa, środowiska twórcze, zaproszeni goście oraz tu i ówdzie — snob.

Po premierze, przez jakiś tydzień, przechodzi wierna tłumy i bardzo kulturalna publiczność. Dużą część tej widowni wypełniają, jak mi się zdaje, starsza inteligencja, która potrzeba chodzenia do teatru wynika z nawyku i z poczucia „dobrego tonu”. Jej reakcja ma wiele cech widowni premierowej, lecz dystans nie jest tak „scholastyczny” egzaminujący. Spektakl ocenia z punktu widzenia ogólnej kultury i dobrego smaku. Jeżeli te dwa warunki stają się bardzo żywa i bezpośrednia. Reakcja tej właśnie publiczności jest dla aktora najbardziej cenna — daje

mu najwięcej materiału korygującego grę i oceniającego.

Ala już w ciągu tego tygodnia, w sobotę i niedzielę, aż do zejścia sztuki z afisza, teatr ma zupełnie inną widownię. Ta chwytta tylko powierzchowny tok akcji dramatycznej, nie rozumie aluzji i podtekstów, skłonna do „ubawu”, dowcipu sytuacyjnego i gierki. Ta publiczność kocha się w zmianach dekoracji... Dla niej wszystko, co się dzieje na scenie to zasługa aktora.

Czy dużo można by do tego, jakże niedoskonałego, obrazu



widowni dodać. Przy naszej wiedzy o odbiorcy dóbr kulturalnych — chyba niewiele. I trudno nawet dziwić się temu, bo nie mamy naukowych publikacji w tej materii. Zresztą badań socjologicznych w dziedzinie kultury jest bardzo mało. Zakład Socjologii przy UL, jak się dowiedziałem, jest przeładowany badaniami z innych dziedzin życia społecznego. Wiemy tylko, że niewiele wiemy o „drugiej stronie rampy”. A przecież wiedza ta małaby kapitalne znaczenie dla polityki kulturalnej, dla sprawy upowszechniania kultury...

Zwykła więc ciekawość zaprowadziła mnie do Zakładu Socjologii. Dobrych kilka godzin przesiadałem wśród ankiet.

W miesiącach marzec—kwiecień 1961 r. zaankietowano z punktu widzenia życia kulturalnego 824 osoby, które zostały wylosowane z list wyborczych. Wszelkie proporcje wieku, płci, zawodu itp. zostały zachowane, tak więc należy przyjąć, że liczba 824 jest miniaturą całej dorosłej ludności Łodzi. Na 824 badanych mamy 590 pracowników fizycznych i 234 pracowników umysłowych. 42,0 proc. ogółu badanych — mówili, że uczęszczają do teatru; w tym — 39,3 proc. ogółu „fizycznych” i 17,9 proc. ogółu „umysłowych”. Ale nie wyciągamy przedwczesnych wniosków, bo ktoś nie chciałby uchylić z „kulturalnego”. I tak — nie 42,0 proc. lecz tylko 33,4 proc. ogółu badanych — wymienili tytuły sztuki widzianej ostatnio. W tym: 117 fizycznych (24,9 proc.) i 112 umysłowych (60,7 proc.). Te liczby podkreślam, bo wydają mi się najbardziej prawdopodobne. 147 fizycznych i 142 umysłowych na widowni teatralnej — to jest prawie „pół na pół”; to byłoby też dość optymistyczne, gdyby... Otóż to — gdyby „fizyczni” również często chodzili do teatru jak „umysłowi”. Niestety, tak nie jest. Nie chce Czytelnika zanudzić cała litania cyfr, procentów i zestawień, podam tylko — w oparciu o dane z ankiet, że fizyczni przynajmniej dwu — jeśli nie trzykrotnie rzadziej chodzą do teatru niż umysłowi. Tak więc przeciętnie widownia pracowników fizycznych zmniejsza się znacznie i spadnie z 50 proc. gdzieś w okolicach 20—25 proc. Domniemywana liczba 70—80 proc. widowni robotniczej, ustalona w drodze dyskusji teoretycznej i podawana w sprawozdaniach oficjal-

nych, staje się w świetle badań — „pobożnym życzeniem”. Mimo, że w gabinecie Zakładu Socjologii „spadłem z nieba na ziemię” — nie sądzę, ażeby należało załamywać ręce. Postęp w dziedzinie konsumpcji dóbr kulturalnych istnieje — jak widać choćby na poniższej tabelce — jest

Kina	Teatry	Koncerty
r. 1937	r. 1959	r. 1937
1086	1371	73

Proszę zwrócić uwagę, że ilość sprzedanych biletów do teatru zwiększyła się w porównaniu z r. 1937 prawie dwukrotnie. Do kina sprzedano 10-krotnie więcej biletów niż do teatru. Najbardziej przedstawiła się sprawa korzystania z filharmonii i muzeum. Z ogółu badanych tylko 11,1 proc. mówiło, że korzysta z filharmonii, w tym 6,2 proc. „fizycznych” i 21,7 proc. „umysłowych”. Z muzeum ko-

rzysta 10,7 proc. ogółu, w tym 8,8 proc. „fizycznych” i 13,7 proc. „umysłowych”.

Dlaczego tak się dzieje, że udział pracowników fizycznych w konsumpcji dóbr kulturalnych jest znacznie mniejszy niż pracowników umysłowych? Decydującą rolę odgrywa tutaj — różnica w poziomie wykształcenia, co najwyraźniej zilustruje poniższa tabelka.

Wykształcenie	Kina	Teatry	Opera Operetka	Biblioteka	Kawiarnia
Wyższe	92,2	83,3	33,3	50,0	66,7
Średnie	88,3	59,4	47,2	37,5	34,3
Podstawowe	64,2	41,7	20,8	18,4	13,5
Elementarne	39,6	28,2	6,9	6,9	6,3

„Korzystanie z instytucji kultury — czytamy w jednym ze sprawozdań — wzrasta w miarę przechodzenia od niższych do wyższych kategorii społeczno-zawodowych. Analogiczne zjawisko występuje w miarę przechodzenia od niższych do wyższych kategorii dochodów. Obniża się natomiast wyraźnie w starszych kategoriach wieku”.

Narzuca się wniosek bezpośredni: niski poziom intelektualny odbiorcy jest największą przeszkodą w dziedzinie korzystania z instytucji kultury; można też dodać: największą przeszkodą dla upowszechniania kultury. I teraz staje się już jasny wyżej wypowiedziany pogląd: dlaczego postępo-

dziedzinie konsumpcji dóbr kulturalnych istnieje, jest on jednak z natury rzeczy bardzo powolny.

Cóż więc mamy robić — zapyta ktoś — czekać aż się poziom intelektualny podniesie i dopiero wtedy zacząć robotę kulturalną wśród mas? Zanim odpowiemy pozwól sobie jeszcze raz zacytować słowa dr. J. Kadzielskiego: „Wykształcenie rozwija człowieka pod względem intelektualnym, wzbogaca jego życie uczuciowe, przygotowuje go do życia w środowisku, a więc UKUL-

Dalszy ciąg na str. 8

Za tydzień
na naszych
łamach

JANUSZ ROSZKO

W SPRAWIE
BABKI

(list z Krakowa)

JERZY ŁAŃCUT

OD
TÜRKSCHES-
STRASSE
DO SANT
PAULI

(trzeci i ostatni
odcinek reportażu
z NRF)



ROSSANA PODESTA

„BIERIOZKA”

Wiele ostatnio mówiło się i pisało w Polsce na temat „nowej fali” w filmie radzieckim. Co więcej — udostępnił polskiemu widzowi dzieła, które o tej „nowej fali” zaświadczać „Lecą żurawie”, „Ballada o żołnierzu”, „Nie wysłany list”, „Czyste niebo” były znakomitymi przykładami przemian, jakie dokonały się w radzieckiej kinematografii. Stanowiły i zapowiadały dokonania o niemałej randze artystycznej. Tym więcej więc dziwi fakt pokazywania w ramach „Festiwalu Filmów Radzieckich”, (który zgodnie ze swymi założeniami powinien pokazywać dzieła najodważniejsze i najdorzalsze filmu) obrazów nie reprezentujących aktualnego dorobku i osiągnięć kinematografii radzieckiej.

Zamiarem realizatorów i jak należy sądzić, głównym celem nakręcenia filmu była prezentacja świetnego zespołu. Fabuła w filmach tego typu stanowi rzecz oczywista tylko pretekst do jak najpełniejszego pokazania wszystkich waleńców tańca i piosenki. Miłosne perypetie zakochanego optyka mogłyby rolę takiego pretekstu spełnić. Niestety, tej wyznaczonej przez poetykę roli nie spełniają. Można by bowiem pogodzić się ze wszystkimi naiwnościami i nieudolnościami fabularno-narracyjnymi filmu Dormana i Oganisjena, mając na względzie wymogi rodzaju. Trudno jednak wybaczyć sposób, w jaki zaprezentowano w nim tańczącą „Bieriozkę” — nieciekawe oparte ciągle na tym samym motywie uklady, chwilemi przerażające okropną scenografią (w układzie „Pory roku” zaprezentowano nam np. „prawdziwy” śnieg). Trudno też wybaczyć zatrucie koniecznie w filmie tego typu proporcji: pokazanie zespołu tylko przy okazji owej historii optyka i dziewczyny jest chyba zasadniczym nieporozumieniem jakiegoś „Tańczącej wiosny” popelnione.

E. S.



MARIA KORNAŁOWSKA

Ze świata filmu

Znany reżyser amerykański Martin Ritt, twórca m. in. głośnego „Poletka Pana Boga” zamierza zrealizować wielki film zatytułowany „Przemyśle młodego człowieka” (Adventures of a young man) oparty na adaptacji dziesięciu opowiadań Ernesta Hemingwaya. Bohaterem wszystkich tych opowiadań jest Nick Adams — postać jak wiadomo na polu autobiograficzną. Akcja rozgrywa się w Arsenie i we Włoszech w latach 1910—1914. Film stanowić będzie swego rodzaju hold pośmiertny złożony wielkiemu pisarzowi i wielkiemu człowiekowi.

Erwin Leiser, twórca znanego u nas filmu „Mein Kampf” zrealizował niedawno nowy film pełnometrażowy pt. „Eichmann i III Rzesza”. Film Leisera jest wstrząsającym świadectwem zbrodni hitlerowskich w Europie i prze-

rażającego cynizmu niemieckich ludobójców. Dokumentalne zdjęcia znalezione w archiwach różnych krajów przepłata szwedzki reżyser fragmentami zdjęć z procesu Eichmanna.

Krytyka francuska z niecierpliwością oczekuje nowego filmu René Claira „Cale złoto świata” z popularnym komikiem Bourvilem w roli głównej. Każdy film Claira stanowił swego rodzaju wydarzenie artystyczne. Na tle dzisiejszej sytuacji filmu francuskiego, film Claira — ostatniego z wielkich klasyków ekranu — nabiera szczególnego znaczenia. Clair reprezentuje wielkie tradycje francuskiej i nie tylko francuskiej kinematografii, reprezentuje filozofię zgola odmienną od tej, do jakiej przyzwyczaili nas tzw. „nowa fala”, reprezentuje wreszcie w oczach świata wspaniałe tra-

dycje francuskiej kultury XVIII i XIX stulecia. Czy świetny reżyser nie zawiedzie nadziei swych wielbicieli? Czy zdoła rzucić swój głos na szalę losów francuskiego filmu? Czy zdoła przeciwstawić swój mądry uśmiech inwazji snobizmu, ponuractwa i pesymizmu?

Interesującego materiału dla socjologa dostarcza film francuski „Francuzka i miłość”, oparty na ankiecie przeprowadzonej we Francji w 1950 r. przez J. Remy i Roberto Woog.

Film składa się z siedmiu nowel: „Dzieciństwo” reż. H. Decoin, „Dojrzwienie” reż. J. Delanoy, „Dzieciństwo” — reż. H. Boiron, „Małżeństwo” — reż. R. Clair, „Cudzołóstwo” — reż. Verneuil, „Rozwód” — reż. Christian Jaque, „Kobieta sama” — reż. J. P. Chanois.

Jak widać z tego przeglądu film obejmuje wszystkie ewentualne sytuacje kobiety od dzieciństwa do starości. W czołówce znakomici twórcy i świetne gwiazdy. Film zły, miejscami niesmaczny, interesujący jest natomiast obraz młodej Francuzki, jaki rysuje się nam na podstawie tego filmu, opartego przecież na ankiecie przeprowadzonej w wielu środowiskach. Przeciwna Francuzka jest uosobieniem cech drobnomieszczańskich. Ceni nade wszystko dobrobyt i spokojne, wygodne życie. Rzekoma swoboda obyczajów i wyrafinowanie Francuzek okazuje się być tylko mitem. Praktycznym życiowym bierze w nich zawsze górę nad uczuciem. Są wyrachowane i rozsądne ponad miarę. Miłość w ich życiu właściwie się nie liczy. Jest tylko środkiem do zdobycia męża i pozycji. W XX wieku, wieku plastiku i atomu, nie ma miejsca na wielkie uczucia.

EWA OSTROWSKA

„SKOK O ŚWICIE”

„Skok o świecie” jest filmem (produkcja 1960 roku), późniejszym od „Lecą żurawie”, od „Ballady o żołnierzu”, od „Losu człowieka” i innych, zaliczanych do „nowej zmiany” filmu radzieckiego. Jednak, doskonale dając się włączyć do serii tych wszystkich filmów, które masowo upłynniały na polskich ekranach w latach 1955—56, uzyskały miano socrealistycznych produkcyjników: analogiczna tendencja do doboru problematyki, te same uproszczenia i schematyzmy psychologiczne, rażąca maniera patetyzmu i patosu tak w dialogach jak w aktorskiej interpretacji.

Scenariusz filmu został poświęcony tematyce żołnierskiej. Prawdopodobnie w zamiarach scenarzysty Bieriozko i reżysera Lukińskiego leżało stworzenie filmu z cyklu „dramatu psychologiczno-obyczajowego” z życia koszar. Trzy centralne postacie filmu, wokół których koncentruje się akcja, to weteran II wojny światowej, starzejący się sierżant Jelistratow oraz dwaj jego „podopieczni” — szeregowiec Agiejew i szeregowiec Woronkow.

Agiejew reprezentuje przyśłowia „czarna owca” kompanii. Jego osoba wywołuje masę zamieszania, wszyscy łącznie ze sztabem zajmują się nim ubolewając nad nim. Zastanawiają się nad Agiejewem, gdyż ten cierpi na lek przestrzenny i uparcie odma-

wia wykonania skoku spadochronowego z samolotu, co oczywiście jest dyshonorem dla całego wojska. Nazwa filmu wywodzi się również od Agiejewa, lecz jest nazwą optymistyczną, ponieważ szeregowiec Agiejew uświadamia sobie w końcu swoją tchórzowską postawę, przezwycięża lęk i rehabilituje się wyskakując właśnie o świecie. Skok obfituje w dramatyczne napięcie, zaczyna się spadochron, ale potem się otwiera i Agiejew szczęśliwie ląduje.

Dwaj pozostali bohaterowie są mniej skomplikowani. Woronkow — niezdyktynowany egoista i zarozumialec, który dzięki okolicznościom uwidaczniającym mu jego egoistyczne i szkodliwe postawy, przeprowadza wewnętrzny monolog (a cokolwiek od wewnątrz przeżywają bohaterowie, skrupulatnie wyjaśnia narrator), spointowany gorącym postanowieniem poprawy i rozpoczęcia nowego życia.

Tragedia sierżanta Jelistratowa polega na braku umiejętności nawiązania kontaktu z szeregowcami. Pomimo, że w życiu pozakoszarowym okazuje się troskliwym i czułym opiekunem samotnej wdowy z trójgim dziećmi, nie potrafi przezwyciężyć swojej oficjalności wobec żołnierzy. W ostatecznej konkluzji postanawia odejść z wojska i wyjechać z wdową do kolchozu, gdzie będzie pożyteczniejszym dla społeczeństwa. Przedtem jeszcze dokonuje bohaterskiego czynu: w czasie ćwiczeń kompanii grupka wyrostków (skąd „cywile” na terenie wojskowym? — tego narrator nie komentuje) wygrzebuje niewypał, grożący w każdej chwili wybuchem, sierżant wydziera chłopcom granat i rzuca się nań własnym ciałem. Na szczęście granat nie wybucha pod ciałem sierżanta, wybucha dopiero po odrzuceniu daleko w pole.

Tak więc film kończy się pouczającym happy-endem, strudzeni żołnierze udają się do koszar, a radio podaje komunikaty o osiągnięciach produkcyjnych.



Tak się zaczyna najbardziej „szalony” pocałunek 1961 r. — pisze „Cinemonde”. Na zdjęciu gwiazda nr 1 amerykańskich ekranów Doris Day i Rock Hudson w filmie „Wróć kochanie”



Wielki

Bek

W

BELGRADZKIEJ SOCZEWCY

★ Tacy są Szkipetarzy. ★ Najtęższy mózg Jugosławii. ★ Stary Belgrad wierzy wodzie. ★ Rzeźbiarz, który sprzedaje gazety. ★ Stolica kolorowa twarzami przechodniów.

PO powrocie do kraju z zagranicznej wycieczki trudno opędzić się od pytań. Ciekawość rodaków męczy więcej niż woda. Szczególnie, gdy nie można wykryć się jednym zdaniem. A tak właśnie jest z Jugosławią. Powiedzieć — piękna, twierdzący to już z reportażu poprzedników. Powiedzieć — kontrasty, trzeba udowodnić. Popróbujemy więc je udowodnić na przykładzie Belgradu. Nie trzeba bowiem zjechać Jugosławi z Słowenii aż po Macedonię, by ujrzeć te kontrasty w ich pełnych wymiarach. Gromadzi je Belgrad. Gromadzi i uwielokrotnia na swoich ulicach: temperament Serbów i chłód Słowenów, dostatek tych ostatnich i ubogość Szkipetarów, katolicyzm północny kraju, płytkie prawosławie rejonów centralnych i głęboki mahometanizm południa...

nie. Wszystkie zarobione pieniądze ciulają na świecidełka dla żon. Im więcej ich przyniosą — tym większa radość. Błada jednak żonie, jeśli w czasie nieobecności męża odsłoniła twarz lub ścięła włosy. Bywa, że postępek robi swoje: kobieta pójdzie do fabryki. Ile przed tym było klótni i grózb, ile wylanych łez — pozostanie tajemnicą rodziny. Włosów ścinać jednak nie wolno. Wkręcają się więc w maszyny, stwarzając niebezpieczeństwo dla życia, niszczą urządzenia. Główne zadanie młodzieżowej organizacji —



„Reporterzy” — (Mario L. Vilhar)

to właśnie walka z włosami, które są niejako symbolem zafobania.

Opowiadano mi o Szkipetarze, który przez rok nie powiedział rodzinie, w jakiej jednostce wojskowej odbywa służbę. Gdy z pomocą ministerstwa żona odnalazła go, gdy dowódcę jednostki pytał o przyczyny rocznego milczenia, odpowiedział krótko: obcięła włosy, ja do niej nie wróciłem...

A spróbuj przy nim znieżyć żonę — nóż wbił w samą rękę...

Tacy są oni — Szkipetarzy. Albańscy, osiadli w skalistych górach południa Jugosławii. Spotkacie ich w Belgradzie w ciągu pięciu jesienno-zimowych miesięcy.

W CENTRUM Belgradu ulokował się najtęższy mózg Jugosławii. Jego pamięć może zarejestrować około 40 tys. znaków. 50 tys. kart pokrytych drobnymi liczbami i liczącymi urządzeniami na magnetofonowej taśmie. Pracuje systematycznie, ale intensywnie. Zsumować i przetworzyć liczby napływające z całej federacji — wcale nie łatwe zadanie. Dawniej 630 osób śledziło nad papierami — do obliczeń licząc i licząc. Mózg IBM 705 zastąpił ich w pracy. Świadczy o wysiłku jego „zwojów mózgowych” w postaci 7 tys. lamp elektronowych jest na każdej zmianie tylko 5 pracowników.

W ciągu 7 miesięcy odsłania on całą prawdę o Jugosławii, czy się komu podoba czy też nie.

Choćby tak: Czarnogóra, Macedonia, Bośnia i Hercegowina, autonomiczny okręg Kosowo-Metonijska mają największy przyrost naturalny. Nie Słowenia, nie Wojwodina — o największym dochodzie, najbogatsze w federacji, ale właśnie Czarnogóra, Macedonia, Kosowo. Primitywne jeszcze, czasem żenująco prymitywne, 24 promille w Kosowo przyroście rocznego — wobec przeciętnej w Jugosławii w latach 1948—1953 — 14,4 i w latach 1953—61 — 11,2. Każda rodzina składa się średnio z 6 osób. Dwa razy więcej niż w Słowenii.

Dajcie im pracę, zapewnicie im godny dobrobyt!

Mózg elektronowy wylicza: w ogólnym dochodzie narodowym, wynoszącym w r. 1959 2.268 miliardów dinarów, udział Macedonii — 105 miliardów, Czarnogóry — „aż” — 31 miliardów. Inwestować? Ależ tak, tylko na powrót wydatkowanego dinara trzeba czekać zbyt długo...

TURECKA twierdza obronna — Kalemegdan otoczona grubymi murami sasiaduje z małą kerkwą. Cerkiew zaś znana jest z wody, dobrej, źródlanej wody. Gdzieś w bocznej nawie siąpi się z kranu. Przed cerkwią starsze kobiety dyskretnie obmywają nią bólowe miejsca, płuczą usta, by zęby nie wypadły, starsi mężczyźni kropią łysiny. Woda, jak średniowieczny balsam, dobra na wszystko.

„Takiej wody nie ma w całej Serbii, ona musi mieć specjalne własności — wyjaśniają zapytani.

Prawda — dobra woda w Serbii jest wielką rzadkością. Belgrad wypija przecież Sawę, ileś tam razy ją filtrując.

Jeszcze Rzymianie w II wieku przed naszą erą w poszukiwaniu źródłanej wody wryli się w ziemię — 40 metrów głęboko. Dziś za skromną opłatą możecie mieć przyjemność schodzenia kamiennymi, krętymi schodami do lustra wody. 10, 15 minut zadyszki i jesteście u celu. Stąd długi korowód kobiet w amforach wynosił kiedyś na powierzchnię ożywczą wodę.

Po przeciwległej stronie Belgradu — źródło Hajduka. Znowu prawem kontrastu z powszechnie spożywaną wodą — cud. Emeryci, bo im na to pozwala czas, w butelkach, czajnikach niosą ją do domów. Nie tylko swoich. Czasem dla sąsiada. Czasem za kilka dinarów.

Belgrad szuka dobrej wody. Czy jednak ma ona leczyć wszystkie dolegliwości?

Młody Belgrad nie wierzy wodzie, młody Belgrad leczy się w nowoczesnych szpitalach i z politowaniem patrzy na swych dziadków, gdy próbują oni nóż chirurgiczny i antybiotyki zastąpić szklanką wody z sąsiedztwa Kalemegdanu...

MARIO L. Vilhar był robotnikiem. Na kolei, w zakładach metalowych. Najpierw jednak uczył się w technicznej szkole w Zagrzebiu. Układkiem — z zapalem, ale nie dowierając własnym siłom — zaczął lepić z gliny przeróżne figurki i pedzłem chlapać po kartonie. Sam nie pamięta jak starczyło mu odwagi, by po raz pierwszy pokazać rezultat spędzonych w samotności, długich godzin. Ale stało się. Zwykła już w naszych czasach koleja rzeczy została cennym rzeźbiarzem i malarzem.

Nie zerwał jednak z fabryką. Gdy chce odcisnąć rozpalone dyskusja twarde robotników — najpierw pracuje razem z nimi. Poł roku, rok — tak długo aż nie wyłowi każdego drgnięcia mięśnia w żąrtliwej polemice. Gdy chce pokazać skręcone pijackim grymasem nieładnie facjaty — zadziornie czasem, czasem przerażająco beztroskie lub też obryzdyliwie wylewne, skruszone alkoholem — pracuje jako kelner. Gdy w jego zamyśle powstaje grupa dziennikarzy, rozpachających się lokalami, by w ludzkiej ciżbie znaleźć szczylną na aparat, natrętnych, ciągle waleczących — prosi o pracę reportera.

To właśnie tajemnica powodzenia jego prac. Dzięki temu, każdy odnajduje w nich siebie, lub co najmniej częstą siebie.

Mario L. Vilhar któryś tam już raz z rzędu eksponuje swe prace w sali centralnych



„Chłopska polka” — (Mario L. Vilhar)

związków zawodowych. Przychodzi do niej codziennie, staje wśród zwiedzających, wyjaśnia.

Zdarzyło się — wbiegł tutaj z wieczornym wydaniem „Borby” gazeciarski. Zainteresował się tym, co mówił Mario.

— Jak to — zdziwił się szczerze — to tak po kolei i robotnikiem i kelnerem i szoferem. Pan — taki elegancki, „z białą chusteczką w kieszonce”? A może i gazeciarskim — zaśmiał się niedowierzająco.

— I gazeciarskim — odpowiedział Vilhar.

Dziś wśród eksponowanych prac jest i postać gazeciarki z pilnie śledzącymi oczyma, czy któryś z przechodniów nie sięga po 20 dinarów do kieszeni, z otwartymi do połowy ustami, jakby wykrzykiwała rytmicznie: „Borba”, „Borba”.

SERBOWIE potrafią politykować nie gorzej niż Polacy. W restauracji, gdzie odpoczywa, na ulicy, gdy chłodzi się nagłym porywem wiatrów z Besarabii. Stłoczeni na promenadzie, gdzie spotkać można także Dżilasa, który po trzyletnim bodaj „wypoczynku” afiszuje swój powrót na ulice stolicy — podejmują najczęstszy temat współczesności: wojna i pokój. Niezręczność w kolorowym towarzystwie.

Jego oprawę stanowią w Jugosławii co najmniej dwa fakty: 2 miliony ofiar drugiej wojny światowej i historyczne, ponad 20-krotne przykrodoświadczenia Belgradu, który Turcy nazwali „wrotami wojny”.

Stąd — gorące jak wszędzie — pragnienie obrony pokoju. Stąd też inicjatywa konferencji belgradzkiej 25 niezależnych krajów świata, o której mówią Jugosłowianie, że „nie stworzyła trzeciego, światowego bloku, ale określiła nową moralną siłę przeciwko wojnie”. W jej cieniu toczy się życie polityczne, nakierowane przede wszystkim na pozyskanie krajów Azji i Afryki.

I niesie w stolicy kraju wielkiego kultu partyzantów i niezwykle uroczyste obchodzonego 20-lecia podjęcia walki przeciwko okupantom włoskim i niemieckim — kolejni — tym razem tylko optyczny kontrast: kolorowej twarząmi azjatyckich i afrykańskich przechodniów europejskiej ulicy.

PYTACIE. Więc jaka jest Jugosławia? Właśnie taka: pełna jak Belgrad najrozmaitszych kontrastów.

informacje i zachepekki

Na Bałtach przy ulicy Franciszkańskiej sześćdziesiąt dwa powstałe z inicjatywy KD ZMS dzielnicowy Klub Młodzieżowy. Organizatorzy zapewniają, że kawa będzie wysmienita bowiem w Klubie odbywać będą zajęcia praktyczne uczennice z Zasadniczej Szkoły Gospodarczej.

W ostatnim numerze studentckiego magazynu „Itd” znajduje się informacja o łódzko-warszawskiej grupie poetyckiej podpisana inicjałami Puh. Z publikacji wynika, że członkiem grupy jest m.in. „krytyk literacki Henryk Pustkowski (Łódź)”. Tak więc łódzkie środowisko literackie dowiedziało się o istnieniu nowego krytyka.

W specjalnie zorganizowanym na Politechnice Łódzkiej stoisku z czapkami studentckimi nie zaobserwowano, jak dotychczas, specjalnego tłoku. Na blisko tysiąc studentów i roku zakupiono... dwie czapki.

Według planów łódzkich architektów nasze miasto zostanie zadrzewione. Na istniejących nieużytkach o powierzchni 400 hektarów posadzone zostaną (częściowo w czynne społeczne) drzewa.

W konkursie plastycznym pod nazwą „Lenin a Polska” drugą nagrodę otrzymał student PWSSW w Łodzi p. Jerzy Grzegorzewski. „Odgłosy” drukowały w swoim czasie rysunki tego młodego plastyka.

Obliczone, że na terenie naszego województwa żyje około 250 tysięcy sztuk zajęcy. Statystyka, to potęga, ale jakim cudem udało się to obliczyć?

W Łodzi powstał oddział Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Północnej. Prezesem został przewodniczący Prezydium Rady Narodowej miasta Łodzi mgr. Edward Kaźmierczak.

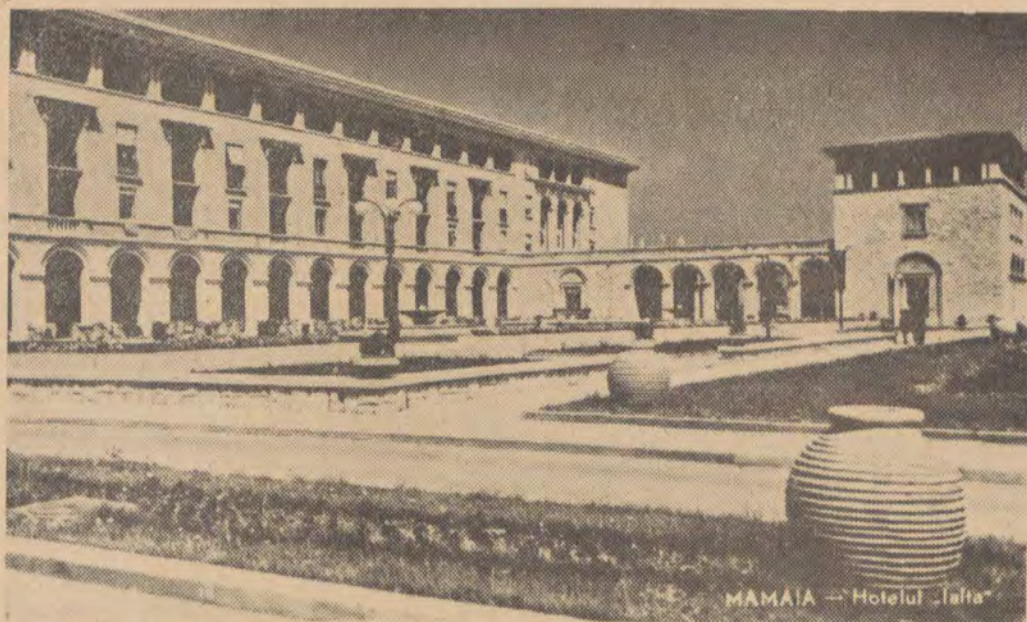
Istnieje w naszym mieście jedyna w Polsce atak ekumywna. Istnieje Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych, mieszka wielu znanych malarzy, teoretyków, historyków sztuki. Nie wie tylko o tych rzeczywistych faktach Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, zapraszając z podziwu godnym uporem na odczyty o tematyce plastycznej prawie wyłącznie prelegentów z Warszawy. Wiadomo, stolicu.

Łódzcy filatelisci zdobyli na ogólnopolskiej wystawie „Lenin i jego idea” — dwa złote medale, pięć srebrnych i sześć brązowych. Ekspozycje w ciągu tylko jednej niedzieli obejrzało ponad 8 tysięcy osób.

Dyrektor pewnej łódzkiej szkoły wydał z okazji „Dnia Nauczyciela” zaiste osobliwe zarządzenie. — „Zabrania się nauczycielom przyjmowania kwiatów od uczniów”. Aby czytelnicy zrozumieli tego nie włożyli między baliki wyjaśniany, że chodzi o szkołę nr 111 przy ulicy Jaracza.

Z okazji wystawienia w teatrze im. Jaracza „Trzejście Patetyczne” Mikołaja Pogodina autor sztuki odwiedził w ub. tygodniu nasze miasto.

W okręgu łódzkim z zaplanowanych sum na cele bezpieczeństwa i higieny pracy wynoszących ponad 100 milionów złotych wydatkowano w I-półroczu br. zaledwie 42 proc. W tymże I-półroczu zanotowano 3675 wypadków przy pracy. Bez komentarzy. J.W.



Mamaia

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Ide brzegiem Morza Czarnego, mokry od potu, choć kończy się już październik. Ide i zbieram muszelki, przedziwnie kolorowe i delikatne. Diabeł nie śpi, wyraźnie mnie podjudza — wykup się, po coś przyjechał nad takie ciepłutkie morze?

Plaża jest martwa, piasek zasypuje zeszłogi dla dzieci, wdziera się na tarasy wspinalych hoteli Mamaia. Przy brzegu, na wieży przeznaczony dla wytrawnych skoczków młodzi ludzie, spuszcza ją na wodę zwykłe, nylonowe nitki z haczykiem, a głupie ryby dają się złapać.

— Niech pan się nie kąpie — radzi mi młodzieniec. Zważając na to, że jestem tego pewien, ma nieczyste sumienie, gdyż tłumaczy się gęsto po rosyjsku, że właśnie odrobił jakieś warsztaty, no i rybki łowi dla mamusi, a morze jest zdradliwe o tej porze, robią się dziury, lepiej obejrzeć Mamaię, cudol!

Oglądam więc Mamaię, jadąc na południe od Eforii, Vasile Roaita, a nawet Mangalii, która leży już bardzo blisko granicy bułgarskiej. Rzeczywiście — cuda, rumuński ekstrakt Europy, groźne konkurentki bułgarskich kurortów, Sopotu, Ostendy, a nawet Biarritz. Na cienkich nóżkach ze stali stoją pastelowe perły nowoczesnej architektury. Mamaia — 5 tys. miejsc dla zagranicznych gości, ale buduje się na połę, Eforia 4 tys. Vasile Roaita — 8 tys. miejsc. Hotele, kluby, kawiarnie, bary, restauracje, baseny słodkowodne, przychodnie lekarskie, kina i teatry pod gołym niebem, parki pełne pamiątek grecko-rzymskich. Tutaj nasz

orbisowy turysta, nagrzewa się, sprzedaje i kupi „co idzie” bez dolara. A morze zmienia co chwila kolor, jakby tęcze, które zataczają wielkie łuki na niebie, stąd brały swój początek.

Ogarnia mnie złość, czuję się upupiony, zupełnie jak pan Józef K. Sliwowski, który wykropił na łamach „Życia Warszawy” tęgi panegiryk o Rumunii i w niczym nie ustępuje panu Kowalskiemu z „Trybuny Ludu”. Gdzie spojrzeć, wszystko cacy, lepsze niż u nas. Budownictwo oczywiście doskonałe i siusiac jest gdzie, nie to co u nas, komunikacja sprawniejsza, remonty szybsze, telefonów więcej, gościom szybko i dokładnie organizują wyjazdy w cukierkowe miejscowości, przedzie podpisują kontrakty i tak sobie emokują na kilku szpaltach. Kraj bez odwrotnej strony medalu.

Ale ja powiadam sobie — nie! Są różnie, muszą być i kolce. Szczęście mi sprzyja. Wracam właśnie trolejbusem do Konstancy. Jest gorąco, ale Rumuni nie otwierają okien, boją się wyraźnie świętego powietrza. Ale to jeszcze drobiazg. Wsiada stara kobieta, obłożona pakunkami, a oni nie, siedzą sobie młode chłopaczki, żaden miejsca nie ustąpi. Udzielę im, rzecz prosta, towarzysztu lekcji grzeczności. Przyglądam mi się, jak dość rzadkiemu okazowi z dalekich stron. Dobre, co?

Niedługo zgaśnie dzień. Włóczymy się po starej części Bukaresztu. Ulica nazywa się Lipsca i ma udawać Lipsk. Zaglądamy w wąziutkie uliczki Salari i Zarafi, wciśnięte się w handlowe pasażyki. Tu czuje się życie. Tam, na przynajmniej ulicy Balescu — nowoczesne pudełka domów, neony, wielkie magazyny, gdzie kobiety szukają polskich welen, dziesiąta woda po Paryżu, a tu

flumy wala jeżdżą we wszystkie strony. Tam ciska w tramwajach i autobusach, wąskie spodnie, kapelusiki z piórkami, a tu wrzask nie z tej ziemi. Krzyczą gazeciarki i pucybudy przed Bankiem Narodowym, na chodniku smaży coś w oleju, kobieta w niezbyt czystym kitlu wychyla się ze sklepu i zachwala towar: prezenty, prezenty! Pod kolorowymi pa-

co dalej, za rzeczką Dębowicą oglądamy prześliczną cerkiewką Bukuru. Bukur zbudował miasto, a raczej założył je, bucurie — znaczy po rumuńsku radość. A może miasto założył emir turecki Abu Kuries, albo bojar Bucurescu? Nikt tego nie wie. Przed cerkiewką mnóstwo róż, podlawa je siwy pop, jakieś kwiatki spływają przez mur. Wewnątrz przepych i upokorzenie. Pod złotymi ikonami kłęczą ludzie, całują brudną podłogę na znak swojej nicości.

Mój przewodnik zaczyna mnie denerwować. Jest nieustrudzony. Ciągnie mnie jeszcze do Muzeum Historycznego miasta Bukareszt. Drugiego dnia czeka cierpliwie w holu, opracował plan dnia do najdrobniejszego szczegółu. Jestem przerażony, ale na gościnność nie ma rady.

Jedziemy do wielkiego parku. W tej części Bukaresztu ma przypominać Paryż. Szeroka aleja, odrzwiona i złota — to Pola Elizejskie, po środku okrągłego placu — Łuk Triumfalny, duma Rumunii, dalej pomnik Stalina i wielki kombinat poligraficzny. Łuk stoi w alei carskiego generała Kisielewa. Carski, nie carski, dla Rumunów dobry, bo Turków łoił i nieźłym był gubernatorem. Chciano mu postawić pomnik, ale generał powiedział,

połnoć, w rejonie Mară Muresz, jeszcze i dziś każde pokolenie tka swój ścieg na rodzinę, a raczej makacie. Ścieg za ściegiem, a każdy inny. Ściegi są jak słoje w drzewie, odczytasz bez trudu, jak stary jest ród.

Tylko, że mój przewodnik ciągnie mnie dalej. Oglądam więc jeszcze muzeum malarstwa rumuńskiego, osobno wystawę pani Ligii Macovej domki bojarskie na przedmieściu, akademie wojenną, park z pomnikami historycznych postaci, jeszcze kilka cerkiewek. Końskie zdrowie trzeba mieć w Rumuni.

Dopiero wieczorem, już w hotelu, uświadamiam sobie, że mój przewodnik działał świadomie, chciał, bardzo chciał mnie przekonać, że Rumunia jest częścią Europy, jest krajem o bogatej historii. Bukareszt to miasto młode, nie ma zamku, baszły tortur, starego ratusza, ani nawet kawałka murów obronnych. O jego historyczności świadczą, nolens volens, cerkwie. One mają wypełnić pustkę pomiędzy starożytnymi czasami, a nowożytnymi. Skansen wysuwa Rumunię między pierwsze kraje Europy właśnie ze względu na stosunek do dawnej kultury. Nawet wystawa Ligii Macovej ma tu swoją wymowę. Objechano ją w prasie za erotyzm i obcą problematykę. Ale ta świetna malarka pokazuje właśnie pejzaż z Europy, przede wszystkim zaś Paryża. Lecz ktoś przeczy, że Rumunia leży w Europie? Czy mój inteligentny przewodnik nie ma przypadkiem lekkiego kompleksu?

Restauracja nie najlepsza, ale owszem, miła, w stylu monumentalnym, sprzed kilkunastu lat. Nazywa się „Berlin”. Przygrywa berlińska orkiestra, najpierw Straussy, Offenbachy i Stolz, różnymi wieczorem — jazz. Siedzimy w czwórce, rej wodzi Paul, dziennikarz i trochę aktor. Mówi językiem rumuńsko-ukraińskim. Ja to przekładam polskiemu inżynierowi, który tu kupuje meble, a on znowu po niemiecku wyklada inżynierowi rumuńskiemu z Kłuzu.

Obaj Rumuni znaleźli mnie w pociągu i z miejsca postanowili się mną zaopiekować. Zaciągnęli mnie do wagonu restauracyjnego, oświadczyli obecnym, że goszczą Polaka, pisarza i dziennikarza. Kelner pojął myśl w łot, zaraz zjawili się wino i woda. Wodę piją Rumuni bez przerwy, przed obiadem, po obiedzie, po kawie, z ciastkami, z winem i bez niego. Pasażerowie obsiedli mnie, Paul czytał na głos uchwały XXII Zjazdu KPZR, a wszyscy byli ogromnie ciekawi, co o moskiewskiej dyskusji powie przybyły z Polski. Powiedziałem, że bardzo mi się podobała, nawet kilka razy powiedziałem. Rumuni byli

przyjaćielski obyczaj. Notuję rozmowę jak leci. Widać Paul zauważył złośliwie, że prasa polska nawet jest ciekawa, dobrze robiona, ale roi się od mordów, pijactwa, wypadków, alarmuje, że z młodzieżą źle. Czy rzeczywiście tak kiepsko jest w Polsce? Odpowiadam, że u nas jest tak samo jak w Rumuni, tylko my się różnymi metodami zwalczania tego rodzaju zjawisk, mamy własne drogi. My mówimy wszystko otwarcie i wierzymy, że to zmobilizuje społeczeństwo do przeciwdziałania, a inni milczą i wierzą, że w ten sposób zapomni się jakoś o tym co boli.

Paul nie daje za wygraną. Powiada chytrze, że mnie z pewnością nie podobają się dosyć liczne pozostałości po kulcie jednostki, pomniki, nazwy ulic, miast, napisy na czekoladkach i cukierkach. To było złe i to się zmieni, ale przecież w Polsce są także rzeczy obce socjalizmowi, jak np. można opłacać z państwowych pieniędzy księży za nauczanie religii? Paul jest zadowolony z siebie, strzelił celnie. Odpowiadam równie złośliwie, że skoro przyznał się do kultu jednego, niechże zostawi naszych katolików w spokoju, oni wierzą w Trójcę, a więc, było nie było, w kolektyw.

Nasi rumuńscy przyjaciele wybuchają śmiechem. Wiedzą, że wykreśliłem się sianem, ale ceną humor. Paul zauważył, że jego kraj jest bardzo bogaty, wszystko jest w Rumuni — świetne ziemie, nafta, gaz ziemny, złoto, rudy, węgiel, uran, bogactwo drzewa, dlatego życie jest tanie. Wyciągam notes i czytuję: lodówka — 3.900 lei, pralka — 1.100, odkurzacz — 750, magnetofon 3.500 lei. Jeżeli brać urzędową relację, dwa złote jedna leja — w Polsce jest taniej. Ale żywność droższa — wraca się inżynier z Kłuzu. Bo ja wiem? replikuje nasz inżynier — chyba że o zieleniznę chodzi, bo jaja, i cukier u was droższe.

Kłócimy się o wszystko i bardzo z tego jesteśmy radzi, nikt się nie bawi w „sojalistyczny” salonik, chcemy wiedzieć o sobie jak najwięcej. My zauważamy, że Rumuni nie mają należytego szacunku dla kobiet, coś nam pachnie orientem, a oni, że u nas za dużo rozwodów, pewnie od tego szacunku. To my z kolei, że oni siedzą za tymi Karpatami, owszem, turystów ładnie przyjmują, ale sami nasa poza własną parafię nie wyscubią. Paul przyznaje rację, ale od razu wali prosto z mostu — za dużo macie prywatarzy, jeżeli do Mamai przyjedzie własnym samochodem, wółknarz z Łodzi, to — niech się dzieje co chce — on wykropi artykuł, że Rumuni pokpił sprawę...

Nasi przyjaciele są gościnni, to zjedzą, a wypiją wino, rumu z kawą i koniakiem z kawą, albo bez, więc na skutek tych okoliczności nie bardzo wiem, o co właściwie Paulowi chodzi. Nie bądzmy jednak drobiazgowi, pozostaje atmosfera wzajemnej serdecz-

RAPSODIA RUMUŃSKA

Wpadam w cięły zachwyt
Nie podoba mi się pan Śliwowski
Kontrasty Bukaresztu
Przepych i upokorzenie
Rumuński kompleks?
Kłocę się w restauracji „Berlin”

rasolami w zaimprovizowanej winiarni i przy krawężnikach siedzi Rumunia w baraniej czapce na głowie. Obok koszyk w flacha oplecioną wikliną, w ręku kielbasa. Czytam szyldy w tej starej handlowej dzielnicy. „Muzica”, „Higiena”, „Cofor”, „Artokole de Nunti si Bote Zuri”, „Textile”, „Sepcarie”, „Flori”, „In Cantaminte”, „Confectiuni”, „Cioarpi”. Prawie Włochy. Tłum obiega sklepy, to są przybyłe z okolicy, tłum pędzi, maca towary, przepycha się, kipi życiem. A centrum bawi się w Europę, kelnerzy w smokingach, cienkie wino konieczne w kubelkach od szampana, błyszczą po amerykańsku klapy przy marynarkach muzykantów, solistki stylizują się na Włoszki. Budują jeszcze dwa piękne bloki, a obok, kilka ulic dalej, sefki parterowych domków, brudne uliczki, człowiek przeciera oczy, bo myśli, że jest w Garwolinie.

Zatrzymujemy się na rynku. Zmierzcha powoli, zapalają się kolorowe fontanny, specjalność Bukaresztu. Mój przewodnik uparł się, aby pokazać mi stare cerkiewki. W Bukareszcie jest tyle kościołów ile dni w roku, równo 365. Przeraża mnie ta perspektywa, już nóg nie czuję. Ołóż ta cerkiewka, obok dawnego pałacu królewskiego, vis a vis Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, liczy sobie, aż dwieście lat. Zbudowała ją szlachecka rodzina Kretzulescu, cerkiewkę i grób. A znowu na wzgórzu, za rynkiem, obok parlamentu, stoi cerkiew metropolitalna, związana z imieniem Constantina Cantacusinu Cornu, zwanego krótkonosym, a to dlatego, że mu Turcy obcięli nos. Nie-

zrobicie już lepiej ładny park dla ludzi. Rumuni zrobili park, a łuk wystawili z okazji ostatecznego przepędzenia Turków.

W tym parku oglądać można fenomen w skali światowej — słynne Muzeum Satuli, po naszymu — muzeum wsi. Taki skansen posiada jedynie Szwecja i ponoć jesz-



Eforia

cze Portugalia. Na blisko 10 ha zgromadzono około 15 tys. eksponatów. Widać jak na dłoni całą wieś rumuńską, domy wyrwane z korzeniami, wyposażone do ostatniego drobiazgu, kościółki, kapliczki i krzyże przydrożne.

Jestem oczarowany, chodzę od chaty do chaty, oglądam bajeczną ceramikę, sprząję do mowy, słucham opowieści o dawnych obyczajach, część z nich przetrwała do dziś. Na

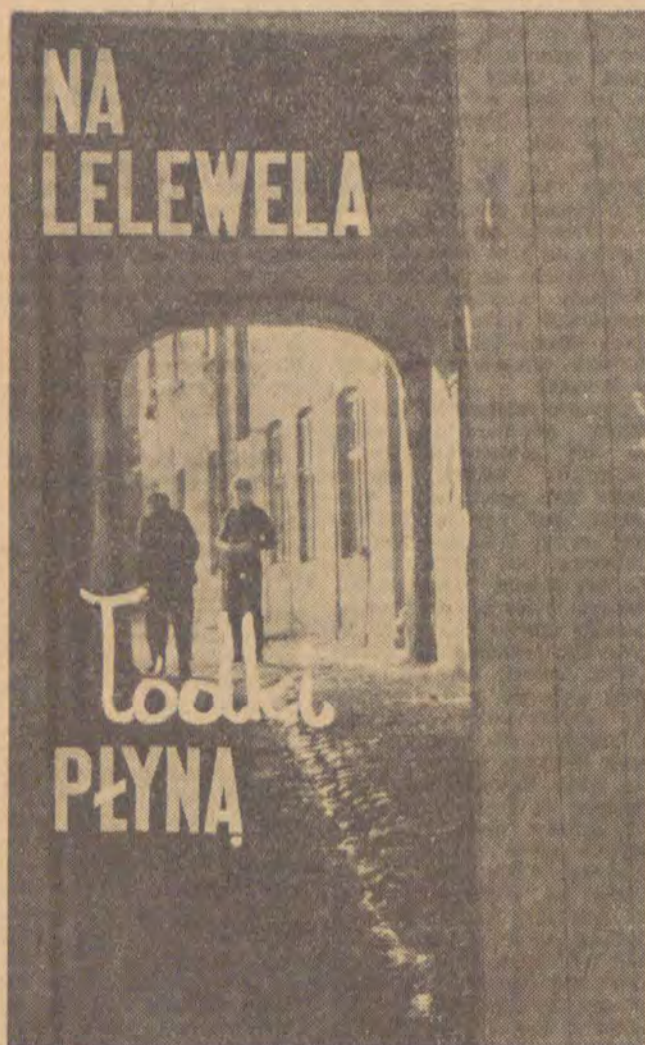
trochę zaskoczeni wydarzeniami. Paul oświadczył, że sprawa grupy antypartyjnej i „wielkiego nieboszczyka”, to ich wewnętrzne kłopoty, owszem, odważnie przedstawił i chyba słusznie zaktwowane.

A teraz dalszy ciąg rozmowy. Wsuwam opiekana pstrąga, to rumuńska specjalność, zapijam winem i kłocę się z Pauliem. Mówimy sobie wszyscy per ty, ładny,

noś! Jakież głębokie przekonanie, że wymiana zdań pomiędzy zwykłymi ludźmi nie gorzej kształtuje wzajemne stosunki niż oficjalna wymiana delegacji.

W reportażu moim pt. „Rapsodia polska” („Odgłosy” nr 46) znalazł czytelnik kilka uwag na temat pobytu wielkiego poety starożytnego Romy w Konstancy. Był to Owidiusz, a nie Wergiliusz, jak to, niestety, jest w tekście.





Dalszy
ciąg
ze str. 1

wiać; coś za czerwono się tym w kuratorium wydawało. Rozwiązali jedną a założyli drugą...

Na Dąbrowskiego w sobotę będzie kąpieli rodzinna. Wanna blaszana, ale nie ma nad nią kranu. Rano jadą wozy z wodą. Ludzie z wiadrami. Za dwa grosze najcenniejszy płyn zmywający brud i zmęczenie, lecz napróżd, po wąskich drewnianych schodach, trzeba wnieść wiadro na górę. Noszą kobiety, dzieci i czasem mężczyźni. Za dwa grosze całe wiadro czystej. Moja gospodyni, wdowa, robi dziś pranie. Pyta:

— Ma pan jakieś koszule? Wiem co to znaczy. Biorę wiadra i idę do beczki. Ale ona też chce iść. Mówię, że mam dużo koszul, jest gołębiedz. Radzikowa zostaje. Gdy wracam ceruje mój postrzępiony sweter.

— Jesliży był, to miałby te lata co pan. — Kto? — pytam. — Mój syn. — Kiedy umarł? — Nie umarł. Zastrzelił go taki jeden kapuś podczas demonstracji.

— Miał przy Łącznej warsztat naprawy rowerów. Ani miesiąca nie dostał. — Wzdycha. — Miał osiemnaście lat. Na Czerwonym Rynku kupilem buty. Można tu kupić wiele innych rzeczy. Bazar pełen przedziwnych towarów i części być może nawet

z samolotów. Były na stoninie. Trochę za ciepło na lato, ale nie tylko o lato tu chodzi. Na Piotrkowskiej oglądałem takie same, tylko dwa razy droższe. Te troszkę przechodzone, nie dużo się jednak różnią... Coś jak Piotrkowska i Rzgowska. Urbanistyka tych dwóch typowych dla Łodzi „ulicówek” kształtowana żywiołowym rozwojem włókiennictwa, w której zapomniano o człowieku, jest podobna. Tylko, że tu więcej jest nędznych budek i nie ma fabrykanckich pałaców.

— Czerwony Rynek. Tylko tu mógł być Czerwony Rynek!

— Dlaczego tylko tu — pytam.

— Bo tu był proletariatus walczący.

— W całej Łodzi był. A Widzew, to niby co?

— Widzew też. Na Widzewie „famuly” i Kunier — koszar, ale dach nad głową...

— Ee, taki dach...

— Czeka pan, wolnego! Tutaj bezrobocie i komorne jak za psa... Kamieniczniki wyrzucały na bruk, a granatowa policja ganiała. W podwórku na Łącznej przy Rzgowskiej, jak coś czuli, to na koni i w rynek. Na rynku ludzie jak mrowia, wozy, krowy, kwik... Można było uciec w pole albo koło ustępu przez płot. Kropnęli też niejednego...

— Ale co Widzew, to Widzew.

— Panie, znasz pan Chojny?

— Znam.

— Urodziłeś się pan tutaj?

— Nie.

— No to nie pyskuj pan.

— Ja tutejszy rodak, wiem. Co Chojny to Chojny.

* * *

Slonina pali jak cholera. Ale jak but upadnie to nie nie słycać.

— Już się pan zaczyna wócić po nocach?

— Byłem w łaźni, pani Radzikowa.

— Gdzie pan był?

— W łaźni, na Wodnym Rynku.

— Mój syn też tam chodził. A w lecie do Panny...

— Miał pannę?

— Jaką tam pannę! Smark mu wisiał jeszcze. Do stawu. Wie pan, tam w dół od Tuszyńskiej.

— To ładnie się nazywał ten staw.

— Słownie. Psy i koty tam topili, a potem jedna dziewczyna utonęła i nazwali gliniankę Panną. Uśluha to tak... leżli do tych brudów...

— Nie mogli gdzie indziej?

— Nie bardzo było gdzie. Łódź jest sucha. Wody nie ma.

— Wieni.

— Ee, co pan tam wie. W książkach nie wszystko jest. Książki, to dopiero pomagają zrozumieć życie. Myśli pan, że ja nie chciałem, żeby syn się uczył? Teraz, by było inaczej... Zgasi pan? Jak bym chrapała, to niech pan czyniś rzuci.

* * *

Majowe nabożeństwo w kaplicy. W Romie „Upier w Operze”. Bez pchania, a na Lelewela istna Wenecja. Krużganki i wygodki dziecięce. Papierowe łódki płyną rynsztokiem. Dzieci się schylają. Bez jeszcze nie opada, więc nie czują, że zapach bzu to nie amoniak i pot wiosna przepływa nad dziećmi, które bezpiecznie śledzą w otwartych wygodkach.

Od Plockiej wałą powietrzem chemikalia, że aż dech zapiera. A na Łęcznej wiośna ma zapach smoły. Ubezpieczalnia, majestatycznie pod parta, ma kształt liry A.

A dlaczego na Lelewela łódki płyną rynsztokiem?

— Zapytaj pan swojej babci!

Na Lelewela wiosna 1947 roku była wyjątkowo ciepła.

* * *

Jak ten czas leci. Maj 1961 roku jest bardzo mokry. To wroży dobre urodzaje. W parę tylko miejscowościach grał położył oziminy, ale poza tym nie jest źle. Sąsiadka pani Radzikowej, osiemdziesięcioletnia włókienniczka, poszaby jeszcze do pracy, ale jej palce wykręciło z wilgoci, i nie ma się kto wnukami zająć. Wczoraj dostała list z Chicago zaadresowany: „Łódź koło Zgierza”. Jak ten czas leci. „Mania jak wyjeżdżała to była ot taka... niedużo większa od stołu. Teraz siostrzeniec pisze, a jakże, umie po polsku, że z Manią kiepsko”.

Pani Radzikowa postarzała się. Już nie pracuje u „Findera”. Jestem wykupany i ponoć lepiej wyglądam.

— Ale łaźnia pani Radzikowa, co?

— Nie byłam, ale ładnie wygląda.

— Kiedy postawili?

— A że dwa lata jak stoi.

Łaźnia przy Rzgowskiej jest duża. Na górze ze dwadzieścia kabinek męskich i damskich. Kawiarnia i masaże na dole oraz zacieki. Stale za cieką.

— Lupie panią w kościach, pani Radzikowa?

— A lupie. Szczególnie na zmianę pogody.

— Była pani na Lecznicy?

— Byłam, chodzę na lampy i na kąpiele.

Przed wejściem do „Kombinatu Zdrowia” wisiał napis: Dzielnicowy Społeczny Komitet do Walki z Gruźlicą. — Pięknie. Społeczny!

Podobno gmach na Lecznicy osiem lat stawiali. Od 1930 roku do 1938 roku. Coś tam nie grało. Mury za cienkie zrobili. A teraz kolumny z zewnątrz i wewnątrz. Ale w środku gra: elektryzacja, krótkie fale, solanki i masaże, kąpiele żarowe. Onkologia obsługuje całe województwo. Na Lecznicy toczy się druga walka. Walka z rakiem!

W ogóle są na Chojnach ślady walki i zwycięstw. Ale problem mieszkaniowy i urządzeń sanitarnych jest tutaj niesłychanie trudny do rozwiązania. Dziedzictwo Geyrów, Grohmanów i Scheiblerów ciąży kulą u nogi.

— Widział pan Chojny?

— Widziałem.

— No i cóż?

— „W mieście fabryki i kominów zieleń chroni cię od dymu”!

— Co pan pieprzysz! Widział pan co czy nie?

— Widziałem!

— Co?

— „Jeżeli chcesz ozdobić

go miejsca wykorzystamy. I nie ma fabryki kleju. Hasło „Strzeż się dymu” (niepożebnego dymu) będzie na Chojnach niebawem zrealizowane, jeżeli zostaną zlikwidowane Oddz. Zakładów Chemicznych i Fabryka Papy tuż obok Lecznicy. A to już niedługo ma nastąpić. Szczęść pracy!

— To pan jesteś uciechony?

— Cholernie!

— Tylko nie picuj pan...

— Mówię uczciwie. Na Łokatorskiej bloki. Uzbrojenie wodne pociągnięte. Oświetlenie żarowe. Tuszyńska ciąg wodny poszedł. aż pod tor. Na Przybyszewskiego małe ale nowe osiedle. Czerwony Rynek częściowo uporządkowany. Stacja benzynowa na rynku. Plombowce spółdzielcze na ulicy Łukasiewicza w górę Rzgowskiej. Trzy nowe szkoły, w tym piękna Szkoła Tysiąclecia przy ulicy Naruszewicza. A remonty domów, nadających się do tego. Około trzydziestu ośmiu milionów rocznie idzie na remonty Chojen.

— Ho, ho... To pan się znasz... Tylko kulturą to pan się mało zajmujesz...

— A co takiego?

— To ja mam wiedzieć, co takiego?

— Cześć panie Zmuda.

— Cześć... Żeby nie zapominać... Zgłoś się pan do prezydium na głównego urbanistę, bo nie ma jeszcze planów. Podobno czekają aż Warszawa zatwierdzi. Z Warszawy daleko, a pan jesteś na miejscu...

Poszedłem do prezydium.

szu, Wyższa, Deotymy i już mamy po lewej Zapolską. Ależ paskudna ta Literacka!

— Będzie Nowo-literacka — mówi mgr Szyburski.

— Cudownie! A nie będzie czasem gorsza?

— Nie — śmieje się mój rozmówca — będzie lepsza.

— Ale trzeba będzie trochę pracy włożyć.

— Tak. Roboty huk.

Zegnam zastępcę Przew. Prez. Dziel. Rady Narodowej Łódź-Górna, dziękując mu za informację i piękną wizję przyszłości.

Siadam w pociąg i jadę. Nie! Nie uciekam do Warszawy, nie uciekam od roboty. Jadę na wycieczkę.

Boże! Jaka ta Sofia piękna! Zieleń, zieleń, i jeszcze raz zieleń. Na dnie zieleni do my i czyste, szerokie ulice. Serce moje boli. Po co tu przyjeżdżałem. Prędko wracać, nie gubić słonecznej wizji Chojen po przebudowie. Ale nie. Trochę trzeba zostać; każda rzecz ma co najmniej dwie strony.

Dziś wracam. Szkoda, ale dobrze. Czego dobrze to nie wiem. Coś tylko takiego czuję, że przyjemnie jest wrócić do swojego miasta. Nie mam innego miasta. Doszedłszy do pełnoletności, samotny i osierocony pojawiłem na swoje miasto Łódź. Widzę je z samolotu bułgarskiego.

— Mówiliście, że mieszkanie w Łodzi — zagaja trzeci pilot, który wyszedł z kabiny, a na lotnisku w Sofii zaczęliśmy rozmowę.

— Tak, mieszkam w Łodzi.

— Wasze miasto — mówi



mieszkanie, to tylko dobrymi reprodukcjami”.

— Na Deotymy pan był?

— Nie.

— No to śpiesz się pan.

— Widziałem zajeżdżnię autobusową.

— No wreszcie, żeś pan coś zauważył!

— Ładna. Nowocześnie pomysłana. Naprzód podjazd, potem budowa. I niedroga, jak na dwanaście czy trzydzieści kanałów.

— Ile?

— Dwadzieścia dwa miliony. Z przelobkami tyle wyszło. Ale wie pan co, panie Zmuda?

— No co?

— Najwięcej to mnie cieszy, że taki piękny park robi się przy ulicy Dąbrowskiego. W ogóle skwery, zieleńce. Każdy kawałek wolne-

Postanowiłem jednak nie nie wspominać o sugestiiach ob. Zmudy odnośnie mojej osoby... Przyjał mnie mgr Roman Szyburski bardzo życzliwie. Rozłożyliśmy mapę na biurku.

— Dużo, dużo robi się i będzie zrobione na Chojnach. Poza tym czuje się tu umiłowanie sztuki. Całą historię kultury polskiej: Idziemy sobie spacerkiem przez Grottgeza, Chelmońskiego, Witkiewicza, Rodakowskiego, Michałowskiego, Kossaka. Towarzystwo dość wyborowe. Można by tu malarzy łódzkich osiedlać. Unosiłby się nad nimi duch wielkich przodków...

Skrecały w Kasprowieca, Lenartowicza, przez Kraszewskiego w dół i już jesteśmy na Literackiej. Od Literackiej — widmo — Niż-

pilot przeciągając słowa.

— To nasze miasto — powtarzam.

— Piękne miasto — mówi pilot.

Hepnęło mnie na siedzeniu. Dziura w powietrzu. — Co on kpi, czy o drogie pyta...

— No co? — mówię.

— Piękne miasto — powtarza — tyle fabryk, kominy, komin. W nas w całej Bułgarii, ani połowy tego nie ma, co tu w jednym mieście.

Zniżyliśmy się nad Chojny. Na ulicy Lelewela nie ujrzałem już łódek płynących rynsztokiem.

ROMAN LOBODA

Fot. W. BILINSKI

*) Reportaż pisany w tym czasie na konkurs „Opisanie Łodzi”. (red.)

MARIAN PIECHAL

ROZUM I UCZUCIE

Coraz częściej słyszy się o znieczuleniu naszych czasów. Wielu, zwłaszcza starych, skarży się na brak uczucia u młodzieży. Ale i starsi dotknięci są atrofią uczuć. Pogarda dla łyzy idzie w parze z rosnącym bezkrytycznym kultem śmiechu. Wzruszenie ogranicza się jedynie do wąskiej dziedziny prymityw-

nego humoru i wesołości nie najlepszej przeważnie próby. Strefa zakazana jest wszelkiego rodzaju sentyment, a jałowy dowcip czyli „kawał”, który się w odpowiednio dobranym towarzystwie „odwala” dla wywołania zbiorowego rechotu lub ryku, góruje nad nawiązanym odruchem serca, które się stało zwyczajnym kawałkiem mięsa, organem niemal wstydlwym, szczególnym przedmiotem jałowej drwiny, a nawet sarkazmu. Obojętność i nieczułość okazują się powszechnie przyjętym sposobem bycia i snobistyczna moda nowocze-

snego savoir-vivre'u. Tzw. „zimne draństwo” pretenduje nieledwie do roli aktualnego wzorca prawdziwej męskości i dżentelmeństwa.

Czym to wytłumaczyć? Zmarły przed szesnastu laty sławny holenderski historyk kultury, Johan Huizinga, którego znakomite dzieło pt. „Jesień średniowiecza” wyszło właśnie w polskim przekładzie, tłumaczy to zjawisko zmniejszającymi się coraz bardziej kontrastami współczesnego życia. Niekłóne kontrasty, jak np. religijne, uległy i ulegają gwałtownie widocznej dla wszyst-

SEDNO
RZECZY

kich redukcji. Strach przed piekłem nie nęka już współczesnego człowieka podobnie jak nie wzrusza go nadzieja szczęśliwości niebiańskiej. Uczucia te zostały u większości ludzi zredukowane do minimum, a u niektórych zredukowane niemal do zera. Tak samo ma się sprawa i z wieloma innymi uczuciami współczesnego człowieka.

Zupełnie inaczej było w średniowieczu, tym niewyczerpanym źródłem kontrastów sprzecznych, a przez to niesamowicie wzmożonych i natężonych, uczuć człowieka aż do granic histerii. „Gdy świat

młodszy był jeszcze o pół tysiąca lat — pisze Johan Huizinga — zarysy wszystkich przypadków życia ludzkiego kształtowały się o wiele ostrzej niż dzisiaj. Dyktans między cierpieniem i radością, między nieszczęściem i szczęściem był wówczas o wiele większy; wszystkie przeżycia posiadały wtedy ten stopień żywiołowości i wyłączoneści, jaki dziś radość i cierpienie osiągają jeszcze tylko w umyśle dziecka. Nędzarzom i ułomnym rzadziej przychodziło z pomocą niż dzisiaj, cierpienia te były groźniejsze i cięższe do zniesienia. Choroba stanowiła silniejszy kontrast ze zdrowiem, ostry mrok i przerażające ciemności zimy były istotnym, sławą i bogactwem cieszone się gwałtowniej i

bardziej pożądlwie; wyrażały: niż dziś dzieła je granica od żalosnego ubóstwa i lichoty”.

A więc ostrzejsze kontrasty w ówczesnym życiu osobistym i społecznym człowieka powodowały też większe i głębsze różnice w jego uczuciach, w ich natężeniu, trwałości i przewadze nad słabym jeszcze jego rozeznanie w realnych przyczynach tych kontrastów. Uczucie, jako bezpośrednia reakcja na dotyczące go fakty, górowało

str
6
odgłosy



Przekłady z poezji amerykańskiej

łum. JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

CONRAD AIKEN

Preludium LVI

Rimbaud i Verlaine, drogocenna para.
Geniusz w nich mieszka (czy jest geniusz?) grają
W szachy na marmurowym stoliku w gospodzie,
A w jasne piwo, na poetów włosy,
Na laura i na wieżę kwiat kasztanu pada;
Na szachownicy słoneczne kwadraty,
Na niebie obłok, muzyka piskliwa
Wiele od krytej skórą bramy Ste. Sulpice.

Miedzy ruchami dyskutują spondej,
Anakoluton, jamb, otwartą głoskę,
Bóg, mówią, to paw wielki, anioły to pawie,
A jasne gwiazdy, to pawie niższych rang.
Mówią o losie; jak Plato go kochał;
Albo Sofokles; bał się i podziwiał;
Albo Sokrates; wielbił, ubawiony.

Verlaine swój pionek na liściu postawił,
Przymyka oczy wąskie, oczy nieuczciwe
I mówi: Zróbmy rzecz jedną, Rimbaud;
Trzeba włączyć retorykę, ukreślić jej kark!
Rimbaud myśli poważnie, przesuwając królową
I do Timbaktu bez zwłoki pośpiesza.

I Verlaine umarł, z nim zmarły fioletoy,
I w Marsylii, z wizjami, umierał Rimbaud,
Nogę amputowano po wycieku serca;
To wszystko opowiedział we właściwym czasie
Lokaj. Miał cnotę: spóźniał się przykładnie.

Opiszę wieczerę: to wiemy, że jest;
Gwiazdy na niebie; to wiemy, że są.
Verlaine i Szekspir gdzie gnić winni, gniją;
Tu wspomnijmy Rimbauda; tak szybko przeminął.

Lad w każdej rzeczy i logika w mroku,
Czas w sereu, układ w atomie i w iskrze,
W mózgu następstwo przyczyny i skutku —

Oglupili Verlaine'a, zabili Rimbauda,
A gdy czas przyjdzie, za kark wzięwszy bóstwo,
Zdławimy je. A z nim retorykę.

WYSTAN HUGH AUDEN

Blues rzymskiego legionisty

(Roman Wall Blues)

Ponad wrzosowiskami mokre wiatry krzyczą;
Gorączka mieszka w sereu a wesz pod tuniką.

Z nieba biegna, stukocząc, i deszcze i śniegi.
Jestem żołnierzem Muru; bo ja wiem, diabeł?

Mgła pełznie nad kamienie i nad szare trawy.
Mam dziewczynę w Tungrii; beze mnie się bawi.

Wekół jej domu Aulus się włóczy.
Nie lubię Aulusa; ma fałszywe oczy.

Piso jest chrześcijaninem i rybie hołd składa.
Zapomniano by pieczęć, gdyby Piso władał.

Miałem od niej pierścionek, przegrałem go w kości
Gdzie jest mój żółd zaległy? Gdzie jesteś, miłości?

Gdy będę weteranem, moim jednym okiem
Będę patrzył, nie więcej, na niebo wysokie.

WALLACE STEVENS

Robaki u bram nieba

Z głębi grobu niesiemy Badroulbador,
W naszych jellitach, my rydwany,
Tutaj jest oko. Rzesa po rzesie,
Tu rzęsy oka i biała powieka,
Tutaj policzek, powieki mieszkanie.
Palec po palcu, oto jest i dłoń,
Geniusz policzka. Tutaj wargi,
A tutaj stopy. A tu wiązka ciała.

Z głębi grobu niesiemy Badroulbador.

ZBIGNIEW NIENACKI

W programie teatralnym tak pisze Paweł Hertz o „Miesiącu na wsi”: Turgieniewowi, podobnie jak późniejszej Czechowowi szło o podkreślenie krytycznego stosunku do konfliktu i postaci, a zwłaszcza do przyczyn, które taki konflikt mogły wywołać. Sztuka była niejako skrótem ówczesnych, zmieniających się szybko stosunków społecznych. Turgieniew, wierny powołaniom pisarza, usiłował pokazać jak się te zmiany odzwierciedlały w życiu jednostek. Udało mu się to całkowicie.

Ogromnie dziwiły mnie te sformułowania, gdy na scenie Teatru Powszechnego oglądałem Turgieniewa „Miesiąca na wsi”. Rozgrywała się przed nami historia starej kobiety, właścicielki majątków, Natalii Isajewej, która zakochała się w nauczycielu swojego syna, młodzieńcem, ubogim studentem, Bielajewie. Oglądaliśmy nieledwie kliniczne stadia tego rodzaju namietności. Z otoczonej szacunkiem matrony, czyniła ona intrygantkę, oszustkę, zdolną do wszelkich podstępów, aby usunąć młodszą wiekiem rywalkę. Prawie odczuwaliśmy pożądliwość starej kobiety w stosunku do młodzieńczego chłopca, który niezbyt zdając sobie sprawę z uczuć jakie budzi w swej możnej chlebodawczyni, czuje wobec niej podświadomy strach, a może i wstręt. I nagle, młody student Bielajew dowiaduje się, że jego chlebodawczyni jest w nim „zakochana”. Obydwoje decydują, że dla ich wspólnego dobra, romans ten nie powinien się jednak rozpocząć i on, Bielajew, musi wyjechać. A jednak zostaje; „Niech pan zostanie” — prosi go ona — „Bóg nas osadzi”.

W piątym akcie sztuki pojawia się na scenie Bielajew już elegancko ubrany, w nowym pięknym surducie, ma w sobie coś ze Stendhalskiego Sorela a więcej z utrzymanki, który zrozumiał, że skoro kocha się w nim pani domu, jest w tym domu kimś najważniejszym i najbardziej znaczącym. Lecz raptem, po rozmowie z Rakitinem — przyjacielem domu Isajewów, młody Bielajew decyduje się wyjechać bez pożegnania. Wyjeżdża, ucieka przed miłością starszej się kobiety. Wyjeżdża, ratując swój honor.

A wszystko to pokazane bardzo przekonująco, z nerwem, z talentem — bo też i Natalię Isajewą, ogarniętą wielką namietnością, zagrała MARIA MALICKA, aktorka znakomita. A jej partnerem, młodzieńcem Bielajewem, był JERZY KAMAS, aktor młody lecz bardzo utalentowany. Należałoby jeszcze podkreślić dość wyrównany poziom gry aktorskiej i pochwalić ZBIGNIEWA NIEWCZASĄ jako Rakitina, ZDZISŁAWA SUWALSKIEGO jako doktora Szpigielskiego oraz ANNE MILEWSKĄ w roli Wiery, o szukanej przez Isajewą. Dobry wyidealizowany BRUNON BUKOWSKI jako Afanazy Bolsznicow, starszy zaś ANTONI ZUKOWSKI w roli dobrotliwego i naiwnego Arkadiusza Isajewa. W pozostałych rolach wystąpili:



Maria Malicka jako Natalia

Foto: G. Puciato

TURGIENIEW ale jaki?

J. Kóssowska, H. Taborska, J. Rudnicki, H. Kurowski, H. Boratyńska.

I na tych słowach można by skończyć recenzję z tej staroswieckiej sztuki, której wystawienie w Teatrze Polskim w Warszawie — Jan Kott skwitował przed kilku laty jednym młodzieńcem zdaniem.

Lecz jest także i wspomnienie na początku zdanie z artykułu Pawła Hertza, które sugeruje, że „Miesiąc na wsi” to sztuka, która „była niejako skrótem ówczesnych zmieniających się, szybko stosunków społecznych”. Czyżbyśmy więc oglądali jakiegoś innego Turgieniewa? Słoneczko nad wydanymi po rosyjsku zebranych dzieł Turgieniewa i przeczytaliśmy na świeżo „Miesiąca na wsi”. Tak, to mądra, głęboka sztuka, dotykająca żywotnych jak na owe czasy problemów społecznych. Turgieniew rzeczywiście był „wierny powołaniu pisarza”, jak pisze Paweł Hertz, ale nie z tej wierności Turgieniewa nie zostało w Teatrze Powszechnym.

W spektaklu łódzkim, jak powiadam, na czoło wysunął się problem namietności starej kobiety do młodego chłopca. U Turgieniewa owa „stara kobieta” ma 29 lat; jest młoda i piękna. W Teatrze Powszechnym między Natalią Isajewą i Bielajewem istnieje przepaść — wiek. U Turgieniewa jest także przepaść, lecz tworzą ją stosunki społeczne. Natalia to bardzo bogata ziemianka, a Bielajew — to tylko ubogi student.

Kiedy Natalia wyznaje Bielajewowi swą miłość, on woła: „Proszę pomyśleć, kim ja jestem, a kim pani. Proszę pomyśleć, nie mógł-

bym nawet w najśmielszych myślach przypuścić... Z pani edukacją... Ale cóż ja mówię o edukacji... Niech pani na mnie spojrzysz... ten stary surdut i pani perfumy... suknie...” Zwróćmy uwagę, że przez całą sztukę Bielajew zwraca się do Natalii z przy należnym jej szacunkiem, wypowiadając nie tylko imię, ale i otecstwo: Natalia Pietrowna. A Natalia? Nawet w najintymniejszej i najtragiczniejszej chwili nie zapomina, że Bielajew to tylko ubogi student. Zwraca się do niego jak do lokaja: „Da Bielajew, wy dajni ujechać...”

U Turgieniewa, powtarzam, Natalia, to nie stara kobieta, ogarnięta żądzą do młodzieńczego chłopca. To młoda, dwudziestodwuletnia ziemianka, która zakochała się w nauczycielu swego syna, w człowieku stojącym od niej niżej na szczeblu drabiny społecznej. Charakteryzuje ją Rakitin, mówiąc, że przypomina mu ona kobiety o czystych i niewinnych sercach, będące dziełami przy całym swym dojrzałym rozumie. Kobiety, które właśnie dzięki tej czystości i niewinności, bardziej od innych zdolne były do poddania się nieoczekiwanemu uczuciu. Czy taka kobieta jest Natalia w Teatrze Powszechnym? Nie, jest zaprzeczeniem owej Turgieniewowskiej Natalii.

A skoro znamy już prawdziwą Natalię nareszcie rozumiemy scenę z piątego aktu. Natalia jest piękna, wspaniała kobieta, jak najbardziej godna miłości. Bielajew, który zjawia się w nowym surducie, to nie Sorel, to nie utrzymanek, to człowiek dumny, że właśnie

jego, skromnego i biednego nauczyciela, wyróżnia miłość ta wspaniała i piękna kobieta. Teraz także nareszcie pojmujemy motyw jego wyjazdu. On ucieka z domu Isajewów, bo nie chce narażać na szwank honoru tej wspaniałej kobiety. Ucieka, bo lęka się rodzającego się w nim uczucia do Natalii, bo zdaje sobie sprawę z dzielących ich różnic społecznych. Ucieka, ponieważ Rakitin unaoznilił mu czym jest miłość takiej kobiety jak Natalia, mówiąc że wszelka miłość zarówno szczęśliwa jak i nieszczęśliwa, to klęska, jeśli się nie odda bez reszty... Pan może się jeszcze przekona, jak te delikatne rączki potrafią torturować, z jaką czułą gorliwością rozdierają serce...

Zdaje sobie sprawę z przyczyn, które zdecydowały, że w Teatrze Powszechnym otrzymaliśmy Turgieniewa pozbawionego społecznego żądla, Turgieniewa zwulgaryzowanego i spłyconego. Lecz przecież istnieje wiele wspaniałych sztuk, jak choćby „Wiśniowy sad” Czechowa, które posiadają znako-

mite role kobiece?

Wiele się u nas pisze o prawie reżysera do własnej interpretacji utworu dramatycznego. Pozwól sobie wyjaśnić tę sprawę, cytując fragment z artykułu Stefani Skwarczyńskiej z październikowego numeru „Dialogu”. „...Natura dramatu nie daje artyście teatru prawa do zmieniania podstawowej koncepcji dramatu i przez nią skrytykowanej sfery jego treści, podobnie jak nie daje artyście teatru prawa przekreślenia ogólnych decyzji dramaturga co do kierunku przeobrażeń, którym zostały poddane twórczo teatralne. Lojalność przy współpracy, która jest tu istotna, obowiązuje artystę teatru w stosunku do dramaturga. Jest ona sprawą tych wyższych rejonów etyki twórczej, że obywateli często śmiesznością dramaturga pozbawiony jest możliwości protestu. Człowiek naturalna współpraca twórcza pomiędzy dramaturgiem a artystą teatru opiera się na raz na zawsze założonym przez sztukę dramatyczną teatralną zaufaniem dramaturga do artysty teatru, nie raz jego „późnego wnuka”. A zatem swobodę twórczą artysty teatru ogranicza obowiązująca go wierność wobec dramaturga, którego testamentu zdepnowanego w tekście jego utworu, jest on twórczym egzekutorem”. Ten fragment cytuję pod adresem reżysera Zbigniewa Koczanowicza.

* Cytuję za wydaniem rosyjskim (Turgieniew, Sobrane dzieła socjologia Moskwa 1949 r.), ponieważ polski przekład P. Hertza zupełnie nie wydobyla tych subtelności.

w nim nad rozsądkiem czyli racjonalnym rozpoznaniem i oceną tych faktów. Dziś wiele przyczyn tych kontrastów i wiele źródeł tych faktów znikło i wygasło. Nie ma ognisk dżumy ani trądu, epidemie ospy i cholery są opasowane, syfilis nie przedstawia już żadnej groźby w skali żywiołowego kataklizmu, głód i gruźlica nie są już żadnym dopustem sił niewytłumaczalnych i nie do pokonania, zaś zjawiska ngdy i głodu mają swoje znane racjonalne przyczyny. Człowiek współczesny zna powody swojej niedoskonałości i szuka sposobów ich usunięcia nie drogą reakcji uczuciowych, lecz drogą wniosków rozumnych. Uczucie staniło — rozum podobał.

Albo czy tak jest istotnie? Niekiedy twierdzą, że owszem, ludzie wprawdzie uprawiają coraz powszechniej kult rozumu, ale są coraz głupszy. Bo czyż nie jest głupota wynalazek broni nuklearnej? Wynalazek rozumu przeciwko sobie samemu, czyli na zagładę rozumu? Bo jakkolwiek nazwać wojnę, jedno jest pewne: nie jest ona dziełem rozumu, lecz szaleństwa. Dziełem rozumu są jej narzędzia, ale ona sama, wojna, jest dziełem szaleństwa ludzkiego. Jej kontrastem jest pokój, racjonalne dzieło rozumu ludzkiego. A może uczucia? Owszem, właśnie uczucia zespolonego z rozumem. Bo tylko człowiek czy społeczeństwo bez uczuć może się powożyć na użycie dzieła swego rozumu przeciwko

sobie. Jeżeli ktoś nie zatracił jeszcze uczucia czyli instynktu samozachowawczego, należącego przecież do kategorii wrzusek, ten nie zgodzi się na wojnę, jako ryzyko zagłady. Dlatego potrzebna jest równowaga między rozumem a uczuciem w człowieku i społeczeństwie współczesnym. Właściwe stosunki między ludźmi, wyłączające wojny jako akty szaleństwa, muszą wynikać z równowagi między uczuciem a rozumem.

Zachwianie tej równowagi zawsze powoduje groźne, bo nieprzewidywalne w następstwach skutki. W średniowieczu podniecone emocjonalnie ciągnęły rozhisteryzowane pochody krzyżowców, ślejąc mord i zniszczenie. W wieku oświecenia hołdownicy racjonalizmu na monarchich

tronach ćwiartowali wbrew odruchom uczucia żywe ciała Polaków i innych ujarzmionych zbrojnie narodów. Dlatego Mickiewicz w imię pokrzywdzonego uczucia protestował przeciwko jednostronnej rozprawie rozumu czyli przeciwko „mędrca szkieletu i oku”. W „Improwizacji” wytoczył nawet ogromne działo uczucia przeciwko rozumowi, ale nie dlatego, żeby go zburzyć, tylko żeby przywrócić właści-

wość mu miarę w stosunku do uczucia.

Pewne objawy znieczulenia, jakie się dają zauważyć w naszych czasach, nie świadczą wcale jeszcze ani o dominacji rozumu ani o zaniku uczucia. Świadczy tylko o redukcji do minimum kontrastów między nimi. Odmienność funkcjonalna rozumu i uczucia powoduje ich wzajemnie dopełniającą niezbędność i równowagę duchową człowieka. Wyraził to doskonale Cyprjan Norwid w następującym wierszu, pełnym wymownej drwiny:

„Niech wadzą jedni wszystkim dla rozumu,
A im przeciwni — dla uczucia wszystkim.
Z przeciw-uczucia do przeciw-rozumu

Tę wartość drogi widzę jak przeżyłskiem.
Sprzecznosc czuć musi ponad wszystkie rzeczy,
Kto tylko wtedy natchniony,
gdy przeczy”.

Człowiek jest stworzeniem równie uczującym jak myślącym. Uczucie wzmaga myślenie, a myślenie pogłębia uczucie. Dając przewagę jednemu nad drugim, podcinamy sens obydwu — obydwu skrzydeł naszego człowieczeństwa. Czyż kto widział kiedy lot o jednym skrzydle?

MARIAN PIECHAŁ



odgłosy str. 7

Przyjechałem do Radomska. Odczyt w „Komunie Paryskiej”. Powietrze targnęło ryk syreny. „No to już idziemy” — oznajmił sekretarz. Ale świetlica zajęta. „A o czym?” — pyta sekretarz. „O potrzebie pokoju” — odpowiadają z należytą powagą w głosie. Sekretarz zmartwił się. Psiakosć, o potrzebie pokoju — a świetlica zajęta. „Mam pomysł — powiada — zrobimy małe zebranie pod otwartym niebem, to nawet dobrze, powieć, że pokój jest potrzebny jak świeże powietrze czy coś podobnego”. Tymczasem robotnicy pędzą do rowerów (dojeżdżają do pracy) i przyskają z fabryki. „Zamknij bramę” — zdecydował sekretarz. „Nie chodź do pokoju?” — zdziwiłem się. „Nie, panie, wtrąć kłós — osiem godzin w metalu robią, ciężka praca, do chałupy prują”. „Wiedzę co — oświadczyłem po namyśle — otwórzę bramę, a ja wrócę do Łodzi”.

Teraz to się wszystko gruntownie zmieniło. „Terem” — najczęściej wybiera sobie prelegenta, omawia przedtem ze swoim aktywnym tematem i bramy zakładu otwierają się a nie zamykają na przyjazd prelegenta.

Ala z dawnych praktyk pozostała mi pewna wartościowa nauka. To było tak. Przyjechałem do „Hortensji” w Piotrkowie „po linii młodzieżowej”. Sekretarz czy przewodniczący Rady zdziwił się, my nie nie wiemy. Obrzucił moją strapioną twarz życzliwym spojrzeniem i zawyrokoował: „poczekajcie, zaraz się zrobi jakieś audytoryum”. Po dwudziestu może minutach wszedłem na salę. Strapiłem się: same stare babki, jakby nim potrzebna, to by się osypały jak zasuszone zioła. Ale nie dajcie po sobie nie poznać wyciągnęłam swoje wiersze i zaczęłam czytać, a potem mówiłam o roli poezji. Na sali zapanowała niezwykła cisza, niekiedy tylko przerywana westchnieniem i pewnym pochłapywaniem. Huczne oklaski. Potem w korytarzu podśledziałem rozmowę:

— Pani Kowalska kochana, niech pani żałuje, że pani tego nie słyszała.

— A czego pani Michalska, czego?

— A był tu taki jeden pan z Łodzi, przeważnie mówił, a wszystko z głowy, tak ładnie mówił.

— O czym to ja nie zrozumiałam, ale bardzo ładnie mówił.

Zastanowiła mnie ta rozmowa dwóch starych robotnic. Czy nie świadczy ona o tym, że stare pokolenie proletariatu rzadko obcowало z książką, nie spotykało się za często z piórem. Jakże daję człowiekowi sztukę? Że to pokolenie, żyjąc w warunkach ustawicznej harówki, pozbawione zostało romantyzmu młodości, pięknych wzruszeń? A jeśli tak, czy nie jest naszym zadaniem, obowiązkiem pisarzy dać tym ludziom „godzinę poetyckiego cudu”?

Na wsi występuje ostry podział między starym pokoleniem a nowym. Na zakończenie Uniwersytetu Powszechnego w Lipcach Reymontowski dy-

plomy najlepszych czytelników zdobyli stare chłopki, które teraz nadrabiając braki, zachłannie czytają (przede wszystkim Kraszewskiego). Młodzież — całkowicie „zurbanizowana” recytuje Galińskiego i Różewicza i dyskutuje o Caldwellu. Im bliżej dużych miast i dróg kolejowych, tym silniej to zjawisko występuje. W Janiszewicach, powiat skierniewicki (tam, gdzie nauczala Filipina Plaskowicka), zarówno starzy jak i młodzi przyszedli na akademie leninowską w ludowych strojach. Ale ta wieś jest oddalona od warkiego życia, a bliżej miast — wyrównuje się poziom.

W ciągu ostatniego czasu przy bibliotekach powiatowych powstały czytelnice. Wyposażone nowoczesnie, przyciągają czytelników różnego

watę starej osady wyszli królowi na spotkanie i prosili: „Racz wstąpić do nas panie”. Racz no — stąd podobno wzięła się nazwa Ręczno. W najnowszej historii Ręczno też ma zasługi. Tu trwała zwycięska walka z hitlerowskim okupantem, tu noc należała do „leśnych”. Obywatele Ręczna z dumą pokazywali mu budynek szkoły, wokół którego co noc trwały walki z Niemcami. Ten budynek upamiętnił Edward Szuster w swojej książce „Leśni”. Ręczniczanie wiedzą o tym i są dumni, że weszli do literatury.

Ala ja się zagadałem, tymczasem trzeba zdać relację z przyjazdu. Bo właśnie przyjechałem do Ręczna z odczytem. Zadanie miałem trudne: ożenić Słowackiego z Gogolem i powiedzieć „coś” o dniach książki. Toteż już w samochodzie głowiłem się, jak wybrnąć.

Słowackiego ożeniłem z Gogolem biorąc za družbę Bohdana Zaleskiego. A o dniach książki? Przecież cały czas o książkach gadałem a nie o kombajnach. Potem dziesiątka recytowała „Ojca zadumionych”, rozłożonego „na głosy”. Aż dziw, jak to się ludziom podobalo. Dzwon daleki dzwonił i przydawał uroczystości wieczystej powagi.

Potem dyskusja. Sluchacze poruszają wszystkie sprawy w związku i bez związku, po prostu widać, że korzystają z okazji, aby z pisarzem porozmawiać. Dlaczego bohaterowie klasycznej literatury są żywi, scharakteryzowani bogato, a współcześni — jednostronnie, schematycznie. Dlaczego język dawnych książek jest piękny, a obecnie czyta się w książkach brzydkie słowa itd. itd.

Ile już zrobiono, osiągnięta rewolucji kulturalnej widać w „dniach książki”. Przyjazd pisarzy „na prowincję” staje się centralnym punktem uroczystości, obejmującej szerokie koła. Tak właśnie było w Nowym Kamieńsku. Przyjechałem z polecenia Biblioteki Wojewódzkiej. Uroczystości zapoczątkował oryginalny pochód, który obszedł całe miasteczko. Orkiestra strażacka, transparenty a potem ruchome, żywe figury. Dwóch chłopców nakrytych kocem imitowało wielbłąda, na nim dziewczynka z rozpuszczonymi włosami. Odczytał Nela z Sienkiewicz „W pustyni i w puszczy”. Dwóch jej kolegów wysmarowanych na czarno (czym?) kroczyło obok z dzidami, to ma się rozumieć Murzyni. Na ścieżce szła ludność, przeważnie dzieci. Tak uformowany pochód obszedł miasteczko i zwał się do obłężymy sali publiczności. W pierwszym rzędzie miejscowe władze, towarzysze i ksiądz proboszcz. Program przygotowany przez nauczycieli: recytacje (ma się rozumieć Konopnicka). Chór i żywe obrazy, bohaterowie powieści. Sala zgadywała szybko, co dobrze świadczy o czytelnikach w Nowym Radomsku.

Miałem trudne zadanie, jako że połowę sali wypełniały dzieci. Lecz przeczytałam trochę wierszy z „ZOO na zabawie” i z problem z nimi umowę, że jeśli będą stały(!) i czekały grzecznie, to jeszcze coś przeczytam, a tymczasem muszę porozmawiać z tatą i mamą: Dzieci grzecznie czekały, a ja czytałam wiersze i fragmenty prozy dla dorosłych. Krakowski targiem, ale i takie rzeczy zdarzają się pisarzowi w jego wojażach.

Wyjechałem doprowadzany tłumnie na stację. Późno znalazłem się na dworcu w Łodzi. Nie samymi wierszami człowiek żyje, więc zasiadłem do kolacji zaraz na dworcu. Wtem spostrzegłem, że ktoś nieznan mi, przygląda mi się pilnie stojąc przy bufecie. Usmiechnąłem się, to pewnie mój czytelnik, pomyślałem. Nieznajomy podszedł do mnie i nachylał się ze rżek:

— Panie, wypijmy kielicha.

— Ależ ja pana nie znam — zawahałem się rozczarowany i oburzony.

— Ja pana też nie znam — odparł gość — ale z nieznajomym najlepiej się pije.

wane czy proponowane jak: sprawa abonamentów, spotkań z twórcami, rozmieszczenia w instytucjach kulturalnych (teatrów) na peryferiach miast itp. — choć w zasadzie słuszne i potrzebne, są chyba tylko półśrodkami.

Tak więc należałoby przystąpić do długofalowej akcji podnoszenia poziomu wykształcenia, szczególnie wśród pracowników fizycznych.

Musimy przeprowadzić wielką batalię kulturalną o dzieci i młodzież. I to nie tylko w taki sposób i w tych wymiarach jak dotychczas, lub jak się proponuje. Tak np. w dziedzinie kultury teatralnej byłoby dobrze wprowadzić propagandę teatru i dramatu jako przedmiot szkolnego nauczania (czy w ramach nauki języka polskiego?). Marginesowa ciekawostka: dzieci amerykańskie uczą się pisanie dialogów (czy m. in. nie z tego źródła płyna sukcesy współczesnego dramatu amerykańskiego?). Chyba powinno znaleźć się miejsce na pogłębienie chodzenie do teatru, przynajmniej raz na dwa miesiące. Może warto też zastanowić się nad powołaniem do życia zawodowego, z praw dziwego zdarzenia — „Teatru Młodych”, który głównie wypełniałby zadania tej akcji. Teatr ten wystawiałby sztuki niekoniecznie objęte progra-

mem nauczania, lecz rzeczywiście interesujące młodzież. Dotychczas zdarzało się, że młodzież karmiona była z butelki ze smoczką. To powinno być teatr młodości, i gorącej temperatury.

A teraz — jakie są upodobania korzystających z instytucji kultury. Przykład z teatru: ci, którzy do niego uczęszczają mówili, że najchętniej oglądają sztuki: muzyczne — 137, komedie — 101, potem idą dramaty — 52, tragedie — 26, i dalej — sztuki psychologiczne, historyczne i obyczajowe. Tak pracownicy fizyczni jak umysłowi chętniej chodzą na sztuki „lekkie”, chociaż wyraźnie przeważają tutaj fizycy. Natomiast sztuki „poważne” cieszą się dużo większym powodzeniem wśród pracowników umysłowych. Wydaje się jednak, że upodobania do rze czy „lekkich” wynika nie tylko, albo nie tyle z pędu do zabawy ile z potrzeby żywej reakcji, z potrzeby wspól gry (np. stadion sportowy). Tę potrzebę bardziej zaspakajają komedie niż dramaty. Obawiałem się więc przed wyciągnięciem zbyt prostych wniosków. W rozmowie ze mną dr J. Kadzielski powiedział, że masowy widz chętnie chodzi i ogląda rzeczy znane nie nowe; z nowych koryzysta elita i dopiero później „nowe” upowszechnia się. Czyżby dlatego powodzenie fil-

KRONIKA SKANDAL BARBARY RADZIWIŁŁOWY Władysław Rymkiewicz TRUCIZNA (IV)

W ostatnim felietonie pisałem, że król Zygmunt August niepokojąc się siałe o los i bezpieczeństwo żony postanowił na czas swej nieobecności umieścić Barbarę w zamku jej brata Mikołaja Rudego w Dubinkach. Specjalny dworzanin i powiernik Zygmunta, Stanisław Dowojna, który znalazł się na praktykach lekarskich, miał czuwać nad zdrowiem Barbary i donosić królowi przez wysłanników o warunkach pobytu królowej w Dubinkach. W jego asystencji i w towarzystwie matki przybyła Barbara po całodziennej podróży 19 listopada na zamek Mikołaja Rudego. Na przejazd 7-miu mil potrzebowano 15 godzin (od 7 rano do 10 wieczorem). Rozstanie z mężem wprowało młodą niewiastę w stan rozdrażnienia nerwowego. Po przyjeździe, zmęczona podróżą wybuchła płaczem. Przyjechała przecież jak na wygnanie i nie wiedziała, jak długo potrwa rozłąka z mężem. Wszystko to, trudy fizyczne podróży i wstrząs uczuciowy, sprawiło, że następnego dnia, 20 listopada Barbara poroniła i chorowała tydzień. Dowojna pisał o tym do Zygmunta Augusta: „Jej Miłość małżonka jest za łaską Bożą dobrze zdrowa, ale żeby co miało być w tym żywocie, już o tem nie trzeba myśleć, albowiem że to Jej Miłości rozzerwało to brzemię, które snąc Jej Miłość w żywocie miała, niewymowny płacz wielki i z onego tak wielkiego płaczu, częste a okrutne omgiewanie. Bóg wie, by tak było dłużej, już bych oszalał, bo mi się ten tydzień wydał w pracy za rok. Już się Jej Miłości polepszyło, datem lekarstwo ad purgandum matricem”.

Z listu Zygmunta Augusta do Barbary i Dowojny przebiega wyraźny niepokój o żonę. Król przestrzega małżonkę, żeby „białogłowy pić jej nie dawały, a zwłaszcza

z kubków, albowiem jednako ze szklenic taniej by się wszystko obaczyć mogło”. Wspomniany przeze mnie historyk Witold Ziembicki pisze, że zakochany król nieraz wracał w listach do tego tematu i był zadowolony z wydanego w Dubinkach zarządzenia, żeby Barbara „o ile możliwości nie nie pła między obiadem a wieczorem, na osobności”. Tym większą zaś ostrożność nakazywał w nocy, kiedy to „konew albo kubek z pićmieniem na stole postawion, około którego białogłowy chodząc muszą, czem może być cokolwiek, iż nikt nie obaczy, w ono pićmienie wrzucono albo nasypano, skąd jaki casus (wypadek) czego Boże uchroni, będzie się mógł zawładnąć”.

Zadawałem sobie pytanie, skąd mogły powstać te królewskie obawy o otrucie Barbary, obawy, z których później prawdopodobnie wyrosła legenda o zbrodniach czynionych. Może Zygmunt August — wiedząc o negatywnym stosunku matki do Radziwiłłówny — obawiał się, żeby właśnie Bona nie posłużyła się za pośrednictwem osób trzecich „narodowy” wówczas czyli wysoki sposób ustalania, przeciwników, to jest truciznę.

Ala niepokój króla nie ograniczył się do obaw o otrucie. Trójsłowny małżonk pisał, np.: „Zgaduję, żeby królowa — jejność na wszem miała swą wczesność, a tego bronić jej, aby jej Miłość tak długo w łóżu się nie myła, gdyż to jej Miłości zdrowiu szkodzi”. Również nie radzi król żonie uczęszczać do katedry, bo „w tym kościele teraz murują i nie bardzo jest bezpieczne tam chodzić, albowiem może się co w tem stać, albo cegła sama spadnie, albo ją kto zrzuci na nią”. Wzruszająca jest ta troska zakochanego mężczyzny o żonę. Troska nie bezasadna! Jak pisał bowiem Michał Bałłucki, na schyłku 1547 roku zdarzył się w Dubinkach następujący wypadek: pod jedną z komnat Barbary znajdował się „sklep” (sklepienie, piwnica, komora). „Pewnego dnia, kiedy piękna Barbara znajdowała się w swojej komnacie w towarzystwie brata i Dowojny, nagle runęło spod ich stóp splekane od dauna sklepienie”. Skończyło się na strachu, ale była to może jedna z przyczyn obaw Zygmunta Augusta o żonę.

Młody król tymczasem przebywał w Piotrkowie u ojca i jak pisał Łukasz Górnicki w swym dziele z XVI stulecia „Dzieje w Koronie Polskiej”, stary król osobno „na pokojach” pytał o to syna (o Barbare) i żeby mu powiedział prawdę. „Tam, jako odpowiedział ojcu, nikt tego nie wie, lecz tak rozumieć ludzie, że się nie przyszan, albowiem po starcu nie znać było frasunku żadnego, któryby się pokazał, gdyby się syn przyszan do tego małżeństwa”.

Tymczasem królowa Bona robiła wszystko, żeby odciągnąć jednako od „rozpustnej Litwinki”, wysunęła nawet myśl oddania Zygmuntovi Augustowi rządów nie tylko na Litwie, lecz i w Koronie,

Po drugiej stronie rampy

Dalszy ciąg ze str. 2

TURALNIA GO ZE SWEJ ISTOTY. (podkr. T. S.) a nie tylko przygotowuje go do korzystania z dóbr kulturalnych, jak pisał się w różnych artykułach publikowanych na łamach prasy”.

Dotychczas w sprawie upowszechnienia kultury zwracaliśmy prawie wyłącznie uwagę na sposób oddziaływania na masowego odbiorcę, nie akcentując równocześnie, i to dotychczas mocno — konieczności wzrostu poziomu inteli-

ktualnego tegoż odbiorcy. Niech te myśli zobrazują odpowiedzi na jedno z pytań w ankiecie: „Ostatnio w gazetach i czasopiśmie pisało, że cały naród weźmie udział w Milenium. Czy Pan(i) mógłby powiedzieć co to jest z rocznica?” Spośród badanych ogółem 41,4 proc. wiedziało co to jest Milenium z czego wśród pracowników fizycznych 28,9 proc., umysłowych 96,6 proc., z wykształceniem elementarnym 19,5 proc. podstawowym 35,4, średnim 60,4, wyższym 99,9 proc.

Akcja musi być dwustronna, żeby przyniosła szybsze rezultaty. Bo i co, z tego, jeśli nawet umiejętnymi sposobami oddziaływania osiągniemy lepsze wyniki liczbowe i procentowe? Cóż z tego, że „Przyjaciółka” osiągnęła nakład około 2 milionów egzemplarzy i znajduje się w co czwartym mieszkaniu w Polsce, że dużym powodzeniem cieszy się „Przekrój”, potem „Świat” i „Dziś”, „Dziś” — kiedy to, popularny czytelnik szuka w nich, jak wynika z badań, sensacyjek, a dopiero da leko potem innych wiadomości. Trudno przynajmniej ocy na popospolity konflikt: twórcy — odbiorcy, kiedy dzieło artystyczne niejednokrotnie odbija się i wraca w postaci bezmyślnego rechotu. Wydaje się, że niektóre środki stoso-

mu „Krzyżacy”?... Może po tej samej linii idą ekranizacje „Chłopów”, „Faraona”? Warto się nad tym zastanowić.

I na zakończenie jeszcze jedna sprawa. Być albo nie być, oto jest — pytanie w ankiecie: „Który z zawodów uznaje Pan za najważniejszy w sztuce?” 37,7 proc. badanych odpowiedziało, że — lekarze; 19,3 proc., że nauczyciele, 18,7 proc. — uczeni, 13,00 proc. — inżynierowie, 7,4 proc. — księża, no i (proszę wstrzymać oddech) 6,4 proc. — artyści i pisarze, potem idea wojskowi, chłopcy i inni.

No cóż — ojedzie się bez komentarzy. Natomiast trzeba apelować do prasy, radia, telewizji, by bardziej propagowały twórców, ich prace, warsztat, dzieła. Gdyby jakimś twórcy poświęcano tyle wierszy w prasie co spalonym rzurowi naszego dyskobola, to może byłoby mniej artystów nieznanym i zapoznanym?

TADEUSZ SABARA

*) Badanie socjologiczne przeprowadzone z zakresu czytelnictwa w 1958 r. i z zagadnień kultury w 1959 r. dają wyniki prawie identyczne jak z r. 1951, stąd — w dalszej części artykułu — oparłem się i na tych danych bez obawy, że w jakimś istotnym sensie zdeformują, czy fałszują obraz.

80
odgłosu



Foto: CAF.

Dalszy ciąg ze str. 1

Widziałam wycięte, chore płuca w słojach z formaliny. Przy łóżku małego pacjenta dr E. Zuk, który go operował, powiedział: „Jego płuca pokazywałem, pamięta pani? Lekarze są przyzwyczajeni. Ja nie. Kiedy drugi oprowadzający dr Jan Rudnik, dyrektor DOSP, zwrócił się do chłopaczka — kilka dni po operacji: „Pokaż jak się gimnastykujesz”, wydało mi się to okrutne. A przecież gimnastyka jest dla nich dobrodziejstwem. Już w parę godzin po operacji trzeba się — gimnastykując, uczyć oddychania.

Dziś w leczeniu gruźlicy dominują dwie metody: farmakologiczna i operacyjna — usuwanie części lub nawet całych płuc. Ośrodek ma zastanawiająco mały odsetek zgonów — 1,3. Dziwią się goście zagraniczni. I wyrażają uznanie, dla jego wyników i dla całego DOSP. Czytałam listy profesorów i doktorów — John Crofton — Edinburg, Marjorie A. Agate — New York, M. Jeanguyot, Lecalmonie, P. Lowys, J. Rossignol...

Jednym z nielicznych w kraju jest również sanatorium rehabilitacyjne dla tzw. meningitów — t. j. dzieci z poważnymi fizycznymi i psychicznymi porażeniami po gruźliczym zapaleniu mózgu. Opiekują się nimi siostry zakonne.

„Czy one nie są śliczne?” — pytają wskazując na grupę biedactw powykrecanych z nie-ruchomymi kończynami. Kaziu — pokaż pani jak ładnie chodzisz — mówi dr Rudnik, dodając: „On jak przyszedł nie mówił i nie chodził”. Kaziu ze skuloną przeciwnie rączką i podgiętą nóżką kuśtyka przez zalaną słońcem werandę.

Idzie pan doktor, oznajmiła mała dziewczynka. Poznała go głosie. Jest niewidoma.

Rehabilitacja oznacza dla jednych prawie całkowity powrót do zdrowia, dla innych zmniejszenie stopnia kalectwa. Zmudna praca lekarzy, siostry, psychologów i pedagogów daje wyniki. Przeciętnie 70 proc. przyrządy dopomagają im do pracy. M...

z kolowrotem (pracują mięśnie dłoni), domek z drzwiami i klamkami (mięśnie palców i barków), rower (mięśnie nóg), przyrządy do chodzenia, specjalne łóżka do gimnastyki itp.

Lekarze marzą, żeby stworzyć namiastkę normalnego życia — ze stopniem do tramwaju, autobusu, krawężnikiem

stawowej dzieci najpierw pływają potem dopiero uczą się chodzić, poczekalnia — palmiarnia dla rodziców. Właśnie rodzice... Mówi dyrektor sanatorium dr B. Pieczonka:

„Zdarza się, że rodzice przynoszą dzieciom wódkę. Musimy leczyć ale i wychowywać. Dzieci klną... Potworne. Psycholodzy mają pełne ręce robo-

RABKA JEST DLA DZIECI

ulicznym, jezdnią asfaltową, zwirową. Bo dziecko umie chodzić, ale np. tylko po gładkiej powierzchni, na chropawatej — pada, do tramwaju — nie widzie.

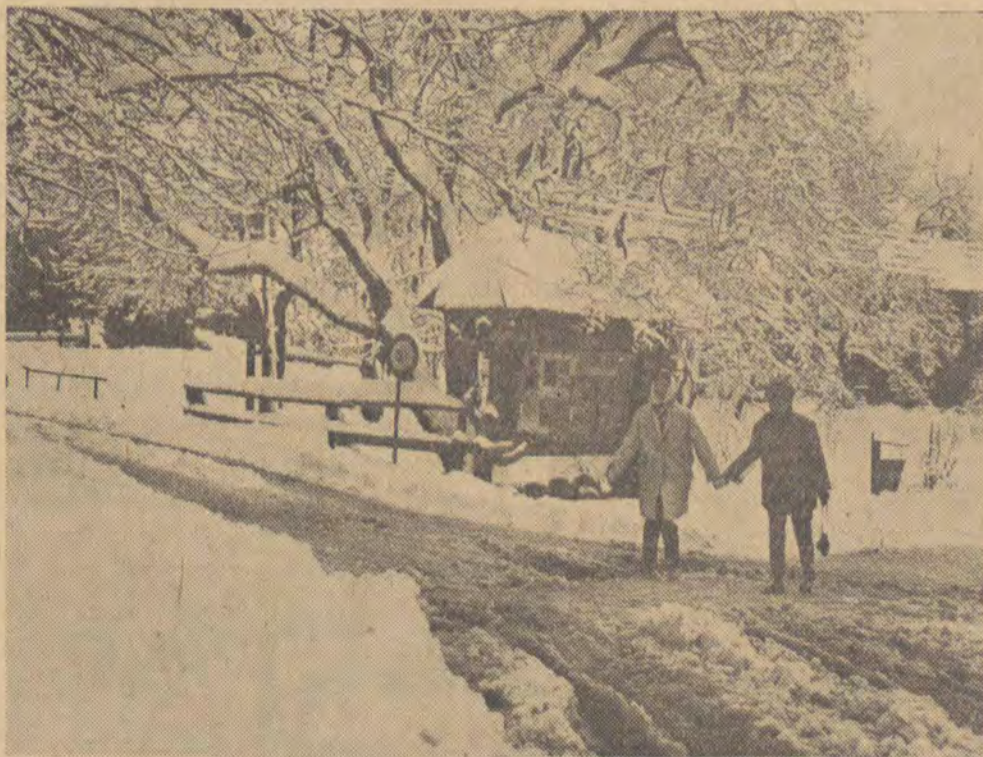
Sanatorium im. Pstrowskiego to ewenement na skalę europejską. Kolos, kombinat. Zdrowia? Choroby? Rocznie około 600 dzieci przychodzi chorych i wychodzi wyleczonych lub zaleczonych. Jest tu wszystko, co dziecko powinno mieć, włącznie z największą atrakcją — kolejką linową w parku dlu-

Od 1949 r. działa w Rabce „Rabcio-Zdrowotek” Teatrzyk kukielkowy. Setki przedstawień, tysiące widzów. P. o. dyrektor i lalkarz — J. Kolec. Najpierw nosili wszystko na plecach. Teraz jest samochód „Lublin”. Jeżdżą po całym Podhalu. Ale najczęściej grają dla chorych dzieci w sanatoriach. To one go tak ochrzczili. Kasia co gąski zgubiła, Szewczyk Dratewka, król Popiel, sierotka Marysia — leżą w skrzyni na parterze siedziby Prez. MRN w Rabce. Czekają, aż dzieci znów zechcą je oglądać...

gości 270 m. Rabcio-Zdrowotek o 17-ej. Pora tym teatrem 100 osób. Telewizor, sale pełne kaset, werandy, basen pły-

ty... Dziewczynka nie chciała jeść. Nie brała nic do ust. Chciała umrzeć. Dlaczego? Matka napisała list, żeby wracała. Matka jest prostytutką i dziecko wiedziało o tym...

Najważniejszy problem, jak



się dowiedziałam, to walka z tzw. szpitalną chorobą. Czasem i trzy lata dziecko jest w sanatorium. Długie miesiące leży w gipsowym pancerzu (przy gruźlicy kostno-stawowej). Musi mieć swoje zabawki — stwierdzono, musi się mu kupować takie, jakie chce. Dla niego osobiste, nie dla grupy! Musi zmieniać otoczenie, wyjeżdżać na spacer. Sanatorium ma specjalny w tym celu samochód z napisem: „Dar Karolinki”.

Duchem opiekuńczym jest pułkownik Ziłek — tak w Rabce mówią o wiceprzewodniczącym katowickiej Rady Narodowej. Ponoć z Aleksandra Zawadzkiego i jego iniektatywu narodził się „Pstrowski”.

„KUMOTERSTWO CIERPIENIA”

W tym jedynym wypadku — cierpienia, opowiada się za kumoterstwem. Tak pojętym, aby pierwszeństwo mieli chorzy, aby wszystko w Rabce działo się dla nich i przez nich...

Wspomniane cztery „człony” rabczańskiego lecznictwa stanowią odrębne państewka. PP „Uzdrowiska” finansuje Ministerstwo Zdrowia, DOSP jest na budżecie terenowym Woj. RN w Krakowie, „Pstrowski” „żyje” z Katowic, a „Lotos” — jest na garnuszku Min. Komunikacji. Nie wiem, czy to jest przyczyną braku „kumoterstwa cierpienia”, ale fakt jest faktem — współpracy ani wzajemnej pomocy nie ma.

Głupstwo — codziennie rano jadą cztery samochody po żywność z PP „Uzdrowiska”, „Pstrowskiego”, „Lotosu” i DOSP...

Nie mam na to dowodów pisanych, ale nie od jednej w Rabce osoby słyszałam, że w wypadku choroby dziecka z jednego z „członów”, które kwalifikuje się do leczenia w innym — ale rabczańskim, dziecko wędruje do Krakowa.

Wymiana doświadczeń lekarskich między sobą (a lekarzy jest ponad 100), jest także problematyczna...

Nie śniem posuwać się dalej w przykładach. I tak wielu będzie mi miało „za złe”. Być może, iż atmosfera, nie najlepsza, wynika z długotrwałego sporu: „Uzdrowisko” — „gruźlica”. Od pewnego czasu jednak spór można uznać teoretycznie za zakończony.

gruźlicy, tak że nie zagraża ona w najmniejszym nawet stopniu innym. Gruźlicze dzieci są dokładnie odizolowane.

Ustalono, że profil Rabki to zdrowotwo.

Jasne, że źle się stało, iż lecznictwo gruźlicy tak bardzo się w Rabce rozwinęło. Ale była to „potrzeba chwili” — czasy powojenne...

„Nie byłoby więcej radości, mniej smutków, gdyby były przychodnie, lecz nie było skutków” — mówi prof. Kotarbiński. Ze skutkami, trzeba się jednak liczyć.

W Polsce jest 8 tys. łóżek dla dzieci gruźliczych w tym ok. 2 tys. w Rabce. Urządzenie nowego łóżka kosztuje 250 tys. zł. Wiece to nie jest takie proste. Likwidacja gruźlicy otwartej (kilkaset łóżek), o którą toczył się spór, musi przebiegać zgodnie z rozsądkiem. W tej skomplikowanej rabczańskiej sytuacji, szczególnie potrzeba „kumoterstwa cierpienia”...

WCZORAJ, DZIŚ I JUTRO RABKI

W obecnym budynku PP „Uzdrowiska” mieściła się kilkadziesiąt lat temu kolonia lecznicza dla dzieci skrofiliicznych, założona przez Krakowskie Towarzystwo Opieki Szpitalnej dla Dzieci.

„Księżna M. Czartoryska przyczyniła się głównie do zbierania funduszy, zajmując się w porze zimowej urządzeniem balów lub koncertów w Krakowie, podczas sezonu kąpielowego loterii fantowych w Rabce...” — z których dochody stanowiły główny fundusz kolonii. Po zgonie księżnej działalność kontynuowało grono „Dam Opiekunek pod przewodnictwem księżnej Cecylii Lubomirskiej”... Opiekę stanowiły dwie siostry miłosierdzia, dwie służące, jeden stróż. Dzieci w trakcie jednego turnusu było kilkanaście. Pierwszeństwo miały — z gminy miasta Krakowa, pochodzenia chrześcijańskiego...

Dziś na blisko 3000 małych pacjentów przebywających okrągły rok w Rabce przypada 2000 leczących się i pielęgnujących.

Historia Rabki-uzdrowiska liczy już 104 lata. W 1857 r. „odkrył” ją prof. Diell. Z małej, góralskiej wioski awanso-

wspaniałą CPLiA, hotel, ulicę pokrytą asfaltem, pięknie utrzymany park, smakowicie zaopatrzone sklepy ze słodyczami, SAM-y, „preselekcje” itp.

Garncarz z dziada pradziada Stanisław Kościelniak w każdy poniedziałek sprzedaje na rabczańskim rynku — dzbanki, dzbanuszki, donice, lichtarze. Wtajemniczeni — przychodzą do domu — na Krakowską. W szopie — jak kartofle, na kupie, leżą śliczne wyroby gliniane. „Jeden Amerykanin jak mu zrobiłem zielono-pistacjowe talerze, aż mnie ucłował” — opowiada Kościelniak. Nic dziwnego, robi na tym „biznes”.

Niedawno rozpoczęto budowę super-nowoczesnej masarni (koszt blisko 6 mil. zł), piekarni mechanicznej (przeszło 7 mil. zł), przygotowuje się dokumentację dla restauracji zdrowej i nowego hotelu, rozpocznie się budowę garaży ze stacją obsługi, pawilonu handlowego (5 mil. zł), zakładu mleczarskiego.

Rada Narodowa do końca „pięciolatki” odda 348 izb, DOSP — dwa hotele dla pielęgniarek, PP „Uzdrowiska” na budownictwo przeznacza 1,5

Jedną z atrakcji Rabki jest muzeum regionalne im. Orkana. Mieści się w modrzewiowym kościółku z 1606 r. W sezonie — kilkuset dziennie zwiedzających. Ciekawe zbiory z okolic Rabki. Najciekawsze — w podziemiach, bo nie ma miejsca na ich wystawienie...

mil. zł, „Pstrowski” wybuduje 3 bloki i przystąpi do budowy osiedla za 18,5 mil. zł, spółdzielnia domków jednorodzinnych wystawi 40 domków, spółdzielnia mieszkaniowa — 3 bloki. Zakłada się jarznięwo-ki na ulicach, kanalizację... W pobliskim Nowym Targu ma powstać lotnisko — Rabka przybliży się do świata.

Dyrektor PP „Uzdrowiska” — M. Klimecki, mówi: „Chciałem dać Łodzi najpiękniejszą parcelę w par-

ku. Włókniarze świetnie by tu odpoczywali. I dorosli i dzieci. Mogłoby przyjeżdżać matki z dziećmi. Czy może być piękniejsza lokalizacja? Niech pani spojrzeli! Związek Włóknarzy mógłby się tym zainteresować. Prawda?”

Prawda! Zainteresujcie się. Warto, naprawdę warto. I to szybko bo inni nas ubiegają. W Rabkę inwestują Ślązacy, warszawiacy, Pomorzanie, różne związki, instytucje, spółdzielnie. Szkoda, że wśród nich brak Łodzi.

Dzieci nie umieją się upominać. Upominamy się za nie. Nie czekajmy tylko na państwowe pieniądze. Tysiące łódzkich dzieci powinny się znaleźć w Rabce. Obecnie Łódź ma 20 miejsc dla swych najmłodszych...

IRENA DRYLL

PS. Za pomoc w zbieraniu materiału dziękuję uprzejmie wszystkim wymienionym w artykule, a także przewodniczącemu i sekretarzowi Prez. MRN J. Ojrzanowskiemu i J. Dudzie i szczególnie dr Helenie Kopaczowej.

odpTosy str. 9



Popularna gwiazda filmowa Brigitte Bardot wystąpiła ostatnio w telewizji francuskiej w widowisku sensacyjnym typu naszej „Kobry”, o której jubileuszu 150 premiery piszemy poniżej. Tu trzeba jednak powiedzieć, że bohaterki niektórych naszych „Kobr” są też wcale, wcale...

Listy w sprawie telewizji

SPOJRZENIA I OPINIE

Od pewnego czasu łódzki magazyn telewizyjny — dawniejsze „Wszystkie Dni Tygodnia” — ukazuje się pod tytułem „Spojrzenia i Opinie”. I pora już może spróbować określić spojrzenia i opinie — odbiorcy.

Przyczyna nudy i pustki strasznej z dawniejszych WDT były twarze — albo to, że właściciele tych twarzy nie mieli nic interesującego do powiedzenia. Warszawski program „Do Rodziców i Wychowawców” operuje wyłącznie prawie obrazowym materiałem. Mimo to potrafi być frastrajką i ciekawą. Nie nuda również — ha, przykuwają — piętnastominuto-

we prelekcje prof. Sawickiego („Paragraf i fajka”), nie nudy dawnej wystąpienia Dziadka w magazynie „Nie tylko dla Pań” i gawędy Wankowicza w „Peryskopie” — wszystkie ilustrowane jedynie portretami mówiących.

„Spojrzenia i Opinie”, pokazując czasami ludzką twarz — ale nie tę żywą, o której właściwie wiemy, że jest teraz w studio — choćby i w nierzeczywistości fotograficznej. To już jest twarz „sprętarowana”, symbol, znak twarzy, który — rzecz jasna — nie wzrusza tak, jak żywy człowiek.

Było już kilka edycji „Spojrzenia i Opinie” przypominających treściwą pustkę WDT — choćby wydanie poświęcone PKO (cyfry wszystkim znane, bo podawane wówczas w całej prasie, konieczność oszczędzania nie kwestionowana przez nikogo). Dwie ostatnie edycje zdają się ambienniejsze: jedna zajęła się wypadkami, druga poruszyła problem „dzieci podwórka”. Wprawdzie i tutaj brak było pogłębienia i świeżości, nowych propozycji.

Z tym wszystkim cieszy jednak sam fakt zbliżania się autorów magazynu do naszego łódzkiego życia. Szanse polepszenia łódzkiego magazynu — leżą bowiem w odnowie treściwej, nie formalnej.

ZBIGNIEW NOWICKI
Łódź, 19 Lutego 5.

OD REDAKCJI: Pański materiał skróciliśmy do minimum. O „Spojrzeniach i Opiniach” pisałyśmy wielokrotnie. Nasze sądy pokrywają się z pańskimi uwagami i nie ma już potrzeby roztrząsać przyczyn dla której magazyn jest taki a nie lepszy.

PANIE REDAKTORZE!

W czwartki każdego tygodnia (a tak naprawdę to co drugi tydzień — red.) telewizja nadaje „Kobry”. Po ostatnim spektaklu spotkaliśmy w mieście młode dziewczęta i chłopców wracających do domów z „telewizji” od kolegów, którzy mają odbiorniki. Chyba obowiązują jeszcze regulamin szkolny, który zabrania młodzieży szkół podstawowych przebywać na ulicach po godzinie 20, a szkół średnich po godzinie 21? I nie powinno być wyłączenia „Kobry” nie „Kobra” uczniów schwytych już na przekroczenia regulaminu należy karać zmniejszeniem stopnia ze sprawowania. Proponujemy też by kuratorium szkolne stworzyło lotne komisje i wysyłało je do domów gdzie oglądają „Kobry”, by stwierdzić nieobecność młodzieży do lat 16. Bo tymczasem kuratorium śpi.

ANATÓL ZEBROWSKI
I ANDRZEJ KOWALSKI

OD REDAKCJI: Fakt, że „Kobra” tak śledzą telewizorów może nieść telewizję, ale znów gromady młodzieży wracające późnym wieczorem muszą niepokoić wychowawców. Rzeczywiście niech kuratorium pomyśli, co robić z tym fantem? Co do komisji... Nie wiemy czy jest w ogóle zarządzenie wyznaczające granice wieku np. dla czytelników powieści kryminalnych czy oglądania w gruncie rzeczy chyba niegroźnych spektakli „Kobry”. Pamiętajmy, że dobry kryminał spełnia również rolę ostrzegawczo-wychowawczą.

W sprawie ostatniego teletur-nielu „20 pytań” nadanego z Łódzi interweniuje pan Andrzej Derapski(?) Niestety list jest napisany niewyraźnie. Nie możemy odczytać, o co właściwie chodzi.

KILKA SMĘTNYCH UWAG pod nieokreślonym adresem na temat centralizmu telewizyjnego

Centralizm telewizyjny jest to nigdzie bliżej nie wyłożona doktryna, która zakłada, że jednym ośrodkiem telewizyjnej wiedzy i rozeznania w przedmiocie, jako też jedynym źródłem spływających na autorów łask, może być wyłącznie stolica. W przyziemnej praktyce autor, trzyzłotkowej powiedzmy, pioseneczki — nie znajdzie w żadnym ośrodku regionalnym żadnego kompetentnego pracownika z dyrektorem włącznie, który mógłby mu zagwarantować, że przedstawiony utwór wcześniej czy później znajdzie się na fali ogólnopolskiej. Przytoczony przykład nie jest jeszcze groźny, jako że piosenka, monolog, scenariusz „Kobry” i tak dalej, i tak dalej, to utwory jakoś już zamknięte, zakończone i na konsultacjach z Warszawą autor nie traci nic, ponadczas. Gorzej, gdy chodzić będzie na przykład o scenariusz widowiska rozrywkowego, koncertu, które zawsze nie ma do ostatniej fazy pracy pozostawać będą w stanie „in vivo”, niewykończonym — zrozmiałe bowiem że tylko przyjęcie widowiska, ustalenie kosztorysu i terminu pozwoli na sfinalizowanie pertraktacji z wykonawcami, a od obecności „ego” lub innego wykonawcy będzie zależał ostateczny kształt widowiska, zaś czyż brak może spowodować konieczność nagłych korekt scenariusza.

Tu potencjalny autor jest już zupełnie bezbronny wobec Warszawy. Ewentualne rozmowy z regionalnym reżyserem czy redaktorem nosić będą zawsze charakter prawie że prywatny — może on bowiem co najwyżej zadeklarować, że rzecz mu się podoba i że zostanie przedstawiona gdzie należy; w ten sposób w oczach autora reżyser zmienia się nagle w dojrzałego wielkiego gońca, czy kuriera dyplomatycznego. Autor traci nadto możliwość improwizowania, dokonywania korekt „na gorąco”, pod wpływem uwag czy zastrzeżeń rozmówcy. Nie może rzucić luźnego szkicu i dopiero w wyniku dyskusji, a po zdobyciu przeświadczenia, że rzecz w zasadzie się podoba — rozwinąć go i opracować. Musi przedstawić rzecz gotową, iluzując się jednak zawsze z możliwością odrzucenia jej w całości — im bardziej będzie dbał wówczas o wyszukanie telewizyjnych form, tym dołkadszej stracie poniesie materiałną.

Stąd próby przyciągnięcia przez ośrodek lokalnych satyryków czy pisarzy — aczkolwiek podejmowane — musiały skończyć się bezłitosnym flakiem; rozmowa na temat ewentualnego programu z kimś, kto nie ma nic do powiedzenia, a będzie się dopiero pytał w Warszawie, jest bowiem jawna i upokarzająca dla obu stron.

Centralizm telewizyjny przejawia się również inaczej, przejawia się w generalnym założeniu że stawki wypłacane w stolicy muszą być o 25 proc. wyższe, przejawia się w rezerwowaniu na Warszawski Teatr Telewizji niedzielnych, a pozostawienie ośrodkom regionalnym dni mniej dogodnych, i tak da-



Wania, dokonywania korekt „na gorąco”, pod wpływem uwag czy zastrzeżeń rozmówcy. Nie może rzucić luźnego szkicu i dopiero w wyniku dyskusji, a po zdobyciu przeświadczenia, że rzecz w zasadzie się podoba — rozwinąć go i opracować. Musi przedstawić rzecz gotową, iluzując się jednak zawsze z możliwością odrzucenia jej w całości — im bardziej będzie dbał wówczas o wyszukanie telewizyjnych form, tym dołkadszej stracie poniesie materiałną.

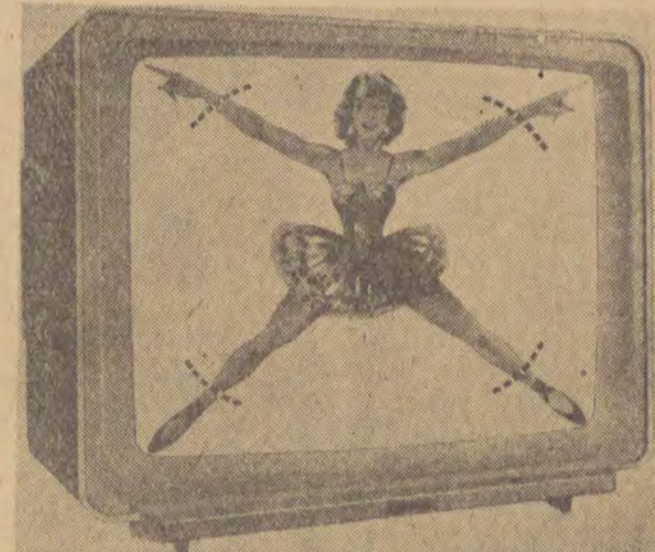
Stąd próby przyciągnięcia przez ośrodek lokalnych satyryków czy pisarzy — aczkolwiek podejmowane — musiały skończyć się bezłitosnym flakiem; rozmowa na temat ewentualnego programu z kimś, kto nie ma nic do powiedzenia, a będzie się dopiero pytał w Warszawie, jest bowiem jawna i upokarzająca dla obu stron.

Centralizm telewizyjny przejawia się również inaczej, przejawia się w generalnym założeniu że stawki wypłacane w stolicy muszą być o 25 proc. wyższe, przejawia się w rezerwowaniu na Warszawski Teatr Telewizji niedzielnych, a pozostawienie ośrodkom regionalnym dni mniej dogodnych, i tak da-

lej. Ten ostatni zarzut trzeba zapewne rozwinąć — rzecz w tym, iż niedzielni są w całej Polsce typowymi dla teatrów dniami wolnymi, łatwiej jednak skompletować zespół interesujących wykonawców w mającej wiele teatrów stolicy, niż w Łodzi, a tym bardziej niż w Poznaniu. W rezultacie już z chwilą startu Warszawski Teatr Telewizji stawia się w sytuacji uprzywilejowanej, kiedy handicap podaje się raczej słabszym koniom i słabszym biegaczom.

Nie kwestionujemy tutaj konieczności koordynacji — byłoby jawnym nonsensem, aby — powiedzmy — trzy różne ośrodki nie o sobie nie wiedząc wzięły na warsztat „Antygone” czy „Króla Edypa”, lub

też chciały tydzień po tygodniu eksploatować Irenę Santor. Między koordynacją a dyktatorską centralizacją przy podejmowaniu najblizszych nawet decyzji jest jednak poważna różnica. Nieco swobody pozostawionej ośrodkom regionalnym z całą pewnością nie mogłoby zaszkodzić, a mogłoby tylko pomóc. Choćby w zaktywizowaniu ludzi pióra, którzy nie bardzo mają ochotę pertraktować „w ciemno”, wybierając rozwiązania nie wiele lepsze, bo nie pertraktują wcale. Ponieważ na pewno nikomu nie chodzi o odstraszanie nieśmiałości twórców, trzeba przeto szanse wyrównać. Jest to zapewne sprawa czasu, może nawet dłuższego, ale tym bardziej należy o niej mówić i pisać.



Szybko znalazł się następca

Ubiegły numer „Odgłosów”, w którym tyle uwag poświęciliśmy przedwcześnie zgasłej Ludmille Jakubczak, nie zdążył nawet wejść do maszyny rotacyjnej, nie mówiąc już o trafieniu do rąk czytelników, gdy okazało się, że — mamy spadkobiercę.

W nadanym w sobotę 11 bm. z Warszawy koncercie rozrywkowym pt. „Nowe plusy” p. Jerzy Polomski był laskaw wykonać utwór Edwarda Pałlasza i Agnieszki Osieckiej pt. „Jak gdyby nigdy nie” w sposób do absolutnego złudzenia przypominający styl interpretacyjny niezwykłej piosenki. Gdyby nie inna skala głosu, no i nie ta nieszczęsna wizja, byłabyś święcie przekonani, że Ludmila Jakubczak raz je-

szcze śpiewa „Alabamę”, tyle że ze zmienionymi słowami i odmienną melodią. Wszystkie inne pasowałyby natomiast do niej jak ulał, każdy niuans interpretacyjny, każde przeciągnięcie nuty, zawieszenie głosu i tak dalej, i tak dalej.

Oczywiście p. Polomski może swobodnie odpowiedzieć że na interpretację nie wydawał patentów, ja! również że wszystko to wyniósł „sam z siebie” i to o wiele wcześniej — nie zarzucając mu jednak nie innego nad zwyczajną niet-kt. Miał dobre prawo zaśpiewać tę właśnie piosenkę w ten a nie inny sposób; wolelibyśmy jednak aby uczynił to — powiedzmy — w miesiąc, a nie w tydzień po tragicznym wypadku.

Niezwykły tydzień

W Telewizji wstąpił nagle sam szejtan teatru i w rezultacie w tygodniu ubiegłym, od niedzieli 12 bm. zaczęwszy, a na sobotę 18 bm. skończywszy, zostaliśmy dosłownie zarzućci inscenizacjami i retransmisjami, z których każda — teoretycznie przynajmniej — warta była obejrzenia.

I tak w niedzielę Estrada Literacka z Poznania — wydała inscenizację nowel staroegipskich. W poniedziałek — komedia Vaillanda „Pan Jan” w ramach Teatru Telewizji. We wtorek — retransmisja „Złotego ciela” Ilfa i Pietrowa z Teatru „Komedia”. W środę warszawskie studio literackie prezentuje insceni-

zacje nowel Alberta Maltza. W czwartek — żeby się nam czasem nie nudziło — 150 jubileuszowa „Kobra”. W piątek „Nieznajomy nie można przewidzieć” Shawa — kolejna retransmisja. W sobotę wreszcie trochę lżej, bo tylko program rozrywkowy.

Omówienie niektórych pozycji zamieszczamy na innym miejscu, tu zaś jednej tylko chcielibyśmy dać wyraz wątpliwości. Otóż jeżeli stać nas w dalszym ciągu na takim tempie, to wszystko w porządku, ale jeżeli po tygodniu tutaj przyjdzie siedem tygodni chudych i będziemy zdychać z nudy — to przykre.

CZ

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa” Łódźka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 24-70 * Wpłaty prenumerat: miesięcznie zł 4,- kwartalnie zł 12,- * Redakcja nie zamawia rekopisów, nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odgłosy” * Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 * Zam. 3327 X L-12



„KOBRA” 150

Z okazji 150. jubileuszowej „Kobry” na łamach „Radia i Telewizji” ukazał się wywiad z kierownikiem Teatru Sensacji i Fantastyki „Kobra” J. ILIĄ GENACHOW.

O niektóre dane zacierpnięte z tego wywiadu: W dotychczasowych „Kobrach” padło 286 trupów, nadto jeden kanarek, cztery koty, jeden kot i jeden pies Baskerville'ów.

117 „Kobr” to kryminały. Widowisk fantastycznych było zaledwie 20, reszta zaś to widowiska sensacyjne o charakterze komediowym, psychologicznym i innym.

Z sześciu polskich autorów

stałe współpracujących z „Kobrą” aż pięciu używa pseudonimów, przy czym jeden zmienia swój pseudonim prawie przy każdym kolejnym scenariuszu.

W planach „Kobry” m. in. widowisko sensacyjne Aliny Kory „Lańcuch”, którego akcja dzieje się w środowisku polskich archeologów. „Srebrna szkatułka” Johna Galsworthy'ego. Adaptacja „Zbrodni Lorda Arthura” Oscara Wilde'a.

Podstawowym elementem scenograficznym w „Kobrze” jest telefon — występuje on w niemal każdym współczesnym widowisku.



ZBIGNIEW NIENACKO

Wojak JUDASZÓW

Usłyszeli dzwonek u drzwi, a po chwili służąca wprowadziła panią Ligęzę. Majorowa przywitała się z nią jak ze starą znajomą, a przecież podczas przyjęcia z Krychniakiem dała Albertowi do zrozumienia, że „maskotkę” architekta widzi u siebie po raz pierwszy. Natychmiast sięgnęła do kredensu. Wyjęła karafkę wódki i kieliszki. Nałóg krawcowej nie był dla niej tajemnicą.

— Gdzie jest nasz architekt i geometra, pan Ryczaltowski? — zapytała krawcowa.

— Poszli do miasta, żeby wywieźć się wszystkich szczegółów napadu. To była noc świętego Bartłomieja. Zabili Ramuza, chodzili po mieszkaniach PPR-owców, podobno zastrzelili kilka osób.

Ligęza nie słuchała. Wypita wódkę. Nagle zwróciła się do Alberta:

— A pan co o tym sądzi?

— Glupiec, Rokita jest głupcem — wybuchnął gniewem. Swoim idiotycznym wysokiem doprowadził do tego, że przetrząsną tu potężny garnizon wojska. Przetrząsną lasy i zginią go. Tak! Będzie koniec Rokity.

Podziękował za obiad. W swoim pokoju rozebrał się i włożył pod kołdrę. Od wódki tuż pało go w skroniach.

Leżąc w łóżku patrzył w okno na chude i drapieżne galeje brzozy w ogrodzie. Po wiosennym niebie szybko płynęły pierzaste chmury. Ich płynny, lagodny ruch działał usypiająco.

O drugiej w nocy wezwał go Jaruga. Przysłał po niego „Wilysa” i Albert prawie natychmiast znalazł się w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa.

— Wśród dziesięciu schwytych bandziorów jest jeden, który prawdopodobnie brał udział w zamordowaniu waszego porucznika. Będziemy faceta przesłuchiwać po raz drugi. Nosi pseudonim „Niedźwiedź”. Chciałbym, żebyście przy tym byli. To przecież was obchodzi, prawda?

Albert kiwnął głową. Fascynowała go twarz Jarugi: ślina od zmęczenia i niewyspania, z przekrwionymi oczami. Głos Jarugi brzmiał ochryple, oddech rzeźbił mu w gardle.

— Wyglądam jak trup na urlopie, co? — zażartował bez uśmiechu. — Najpóźniej za tydzień musimy zrobić pokazówkę. Do R. zjedzie Rejonowy Sąd Wojewódzki. Sledztwo chcemy zakończyć w ciągu trzech dni. Potem wyrok, w czapę i do ziemi. To oczywiście nie wyleczy Rokity, ale przynajmniej przepłoszy tych, co dla niego pracują. Oko za oko, ząb za ząb, majorze. Zabili Ramuza. Zamordowali Lenorę, Borowika. Ukrzyżowali na drzewach naszego gońca, Jackowiaka. Czternaście lat miał chłopaczyna. Pasy z nich drzeć. Od domu do domu chodzili z listą w ręku, jak kolejniacy, szukając naszych ludzi. Stary Borowik pięć lat siedział w obozie hitlerowskim. W półtora roku później zginał z rak Polaków. Za co? Bo do PPR się zapisał, a syn jego u nas pracuje. W nocy przejeżdżał przez miasto samo-

chód z pięcioma ruskimi żołnierzami. Zabrali ich ze sobą i rozwalili w lesie. Dziś przywieziono trupy... Kolo Dąbrowy jechało furmanką trzech Żydów z żonami i dziećmi. Rozwalili. Dzieci także. Oto plon tych dwóch dni, majorze.

Podniecał się. Twarz mu piała jak w gorączce.

— Rutkowskiemu zgwałcili żonę. Skatowali matkę Grzegorzewskiemu. Gdyby dziś w polu nie nie zajął przypadkiem do więzienia, załukiliby kolbami „Niedźwiedzia”. Rutkowskiemu, Grzegorzewskiemu i Borowikowi dałem tydzień ścisłego za próbę samosądu. Jakże ich bardziej ukarać? Ja ich rozumiem.

Nienawidził. Nienawidził każdą komórką swego żyłastego ciała. Nienawidził siłą twarzy, przekrwionymi oczami. Wyglądał strasznie i straszna była jego nienawiść.

Nagle zakrył rękami twarz i wsparty łokciami o biurko zawył prawie bezwładnie.

— Ktoś u nas sypie, majorze... — powiedział cicho, bez dawnej histerii. — Rokita wie o każdym naszym kroku. Ma listę naszych ludzi. Czuję się, jakby mi założyli postronki na szyję. Uduśzą mnie. Zadławia.

Swą drugą ręką sięgnął po dłoń Alberta. Uchwycił ją w przegubie i ścisnął.

— Musisz mi pomóc. Jesteś tu obcy. Nie znają cię.

— Wypuść któregoś na „wabia”, któregoś z tych dziesięciu bandytów — podpowiedział Albert.

— Myślisz? — zacisnął usta.

— Och, gdyby wiedział gdzie jest pewien facet. Ale go nie ma. Zniknął niedawno. Jak kamień w wodę.

— Wypuść „wabia” — powtórzył.

— Którego?

— No... choćby tego „Niedźwiedzia”.

— „Niedźwiedzia”? — spojrzał na Alberta podejrzliwie.

— Płatki nie mają znaczenia. To musi być szczupak.

— A jeśli szczupak przypadnie w jeziorze? To co wtedy? Rozstrzelają mnie. Musiałbym uzgodnić z Wojewódzkim.

— Uzgodnisz, to go stracisz. Ufaj tylko sobie. My wypuściliśmy Kurtmana. Tylko trzech ludzi wiedziało, że Kurtman ucieknie w drodze na śledztwo. A jednak ktoś Rokitę poinformował, że Kurtman będzie sy-pał.

— Przypadek. A może nieufność Rokity? On już nikomu nie wierzy. Zbyt beczelnie „zdejto” Perkuna. Nawet dziecko mogło się domyślać, że Perkun był zadenuncjowany, i że go wydał ktoś z najbliższego otoczenia. Z Rokitą tak łatwo nie pójdzie. Ryba co się raz zemknęła z haczyka, drugi raz nie łatwo chwyci przynętę. Łowileś kiedyś ryby? Nie? „Niedźwiedzia” nie wypuszczę.

Albert wzruszył ramionami.

Jaruga otworzył drzwi do sekretariatu i kazał przyprowadzić więźnia. Sekretarka ustawiła na biurku Jarugi karafkę z wodą i starannie, jak dekorację w teatrze, rozmieściła w gabinecie trzy krzesła. Dwa stały przy biurku. Zasiedli na nich Jaruga i Albert. Trzy me-

try przed biurkiem postawiono krzesło dla podejrzanego.

Był w mundurze wojskowym bez żadnych odznak. Miał dwadzieścia dwa lata, szeroką chłopięcą twarz i rzadkie blond włosy. Pochodził z jakiejś ubogiej wsi nad Pilicą, skończył cztery klasy gimnazjum. Do Perkunowego wojska przystąpił pod koniec 1945 roku, przyjął pseudo „Niedźwiedź” — był zresztą trochę niedźwiedziowaty. Podczas pierwszego przesłuchania przyznał się do sześciu zabójstw na milicjantach i członkach PPR oraz do udziału w napadzie na miasto.

Na pytania stawiane mu przez Jarugę odpowiadał powoli, namyślając się nad każdym zdaniem.

Jaruga: — Jaką pełnił funkcję w podziemnej organizacji Perkuna a po jego aresztowaniu i straceniu w oddziałach Rokity?

Niedźwiedź: — Mówiłem dokładnie podczas poprzedniego przesłuchania.

Jaruga: uderzając pięścią w stół:

— Ja żądam, abyście mówili jeszcze raz. Jak będzie trzeba, powtórzycie zeznania po raz trzeci, czwarty i dziesiąty.

Zastosowano stary i wypróbowany sposób. Kilkakrotnie wypytując go o to samo. Potem wystarczająco porównała protokoły przesłuchań i jeśli podejrzany kłamał, zazwyczaj za każdym razem nieco inaczej konstruował swą odpowiedź. Protokoły ujawniały luki i pomyłki w odpowiedziach. W te luki wciskały się następne pytania przesłuchujących.

Niedźwiedź: — Byłem dowódcą dziesięcioosobowej grupy operacyjnej na-

rownictwo Walki z Bezprawiem?”

Wyszedł z biurka i podał Niedźwiedziowi złożoną na czworo karteczkę. Niedźwiedź rzucił na nią okiem i zwrócił Jarudzie.

— Tak. To jest wyrok.

Jaruga wrócił do biurka i rzucił kartkę między papiery.

Albert odczytał:

„Do pana porucznika Jarugi Komendanta Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w R.

Zawiadamiamy, że Sąd Specjalny Kierownictwa Walki z Bezprawiem na sesji z dn. 3 marca 1946 roku, po rozpatrzeniu oskarżenia przeciw panu o dopuszczenie się zbrodni wobec społeczeństwa i Państwa Polskiego, a mianowicie:

1) Oddanie się na usługi zaborczo nastawionego ZSRR i działanie w myśl dyrektyw NKWD.

2) Kierowanie terrorem, zmierzającym do zgwałcenia przeciwnicy czerwonego reżimu większości Społeczeństwa Polskiego.

3) Stosowanie metod terroru, określonych przez prawo międzynarodowe, jako zbrodnicze — SKAZAŁ PANA NA KARĘ ŚMIERCI.

Wyrok zostanie wykonany w ciągu sześciu tygodni.”

— No, a ja żyję, Niedźwiedź. Żyję, widzisz? — chętnie się Jaruga.

— Jeśli zaś dosięgnie mnie wasza kula, to przed tym zdążę jeszcze posłać was na szubienicę. Zresztą, ciebie się rozstrzela, bo ty jesteś wojskowy.

— Dziękuję — warknął Niedźwiedź.

Jaruga:

— Grupa operacyjna, której byliście dowódcą, otrzymała rozkazy od „kierownictwa Walki z Bezprawiem”. Czy były to tylko rozkazy likwidacji komunistów?

Niedźwiedź:

— Nic nie wiem o tej sprawie.

Jaruga:

— Nie wiesz?

Niedźwiedź:

— Proszę mi nie mówić na „ty”. Swiń razem nie pałiliśmy.

Jaruga wstał. I zaraz usiadł.

— Dobrze. Będę mówił na „wy”.

— Dziękuję — ironicznie odpowiedział Niedźwiedź.

Jaruga:

W dniu 27 kwietnia zastrzelony został na ulicy koło gmachu starostwa pewien mężczyzna lat dwadzieścia trzy. Kto go zabił? Z czyjego rozkazu?

Niedźwiedź:

— Nie wiem.

Jaruga:

— Słuchajcie „Niedźwiedź”.

Chcecie, żeby nie mówił z wami na „ty”, żeby was nie bił po mordzie i tak dalej. Chcecie grzeczności. Nie mam nic przeciwko temu. Wolę z wami prowadzić towarzyską rozmowę. Ale to i was zobowiązuje. W towarzystwie nie wypada kłamać. W dniu 27 kwietnia, w chwili gdy zastrzelono tego młodego człowieka, przejeżdżałście tamtejszym motocyklem. Wy prowadziliście motocykl, mamy świadków. Ten drugi osobnik, który jechał z wami na tylnym siedelku, strzelał i zabił porucznika Mikołaja L. Kto był ten człowiek, który z wami jechał?

Niedźwiedź:

— Nazwiska nie znam. No, si pseudonim „Kuropatwa”.

Jaruga:

— Jaka jest jego funkcja?

Niedźwiedź:

— To jeden z ludzi mojej grupy operacyjnej.

Jaruga:

— Podajcie dokładny rysopis, adres i tak dalej.

Niedźwiedź: (mówi powoli, zacinając się, z namysłem).

— Prawdziwe nazwisko „Ku-

ropatwy”. Chameczyk Józef. Wysoki, ciemny blondyn, szczupły, lat 25—26, włosy czesane do góry, oczy szare, nos długi, usta cienkie. Ubrany w czapkę narciarską, kurtkę koloru zgnió zielonego, z szarym szalikiem cienkim. Buty oficerskie, spodnie zielone, wojskowe, wyburzałe albo pluszowe w paski barwy brązowej. Rękawiczki skórzane. Kontakt na niego można uzyskać u jego rodziców we wsi Chrzęszczów, gdzie od czasu do czasu przychodzi na obiad. Zresztą... on już w lesie. Teraz nosa z lasu nie wyśledzi, skoro ja wpadłem.

Jaruga:

— Dlaczego zabiłście porucznika L.? Czy i na niego wydano „wyrok”?

Niedźwiedź:

— Nie wiem... nie wiem. Nie. Wyroku nie było. Musiał zginąć. Nie mieliśmy czasu...

Jaruga:

— Do diabła: mówicie czy nie?

Niedźwiedź:

— Pić...

Jaruga:

— Tu jest UB, a nie kiosk z napojami chłodzącymi. Mogliście się napić w celi.

Niedźwiedź:

— Chciałem. Nie dał. Powie-

dzieli, że tutaj.

Jaruga:

— Dobrze, dobrze. Najpierw opowiadajcie. Na czyj rozkaz zabiłście porucznika L.?

— Nocowaliśmy na melinie w Leśniczówce Graby. Wczesnym rankiem przyjechał do nas na rowerze łączniczka „Zenka”. Nie wiem jak się nazywa, nie wiem kim jest i gdzie mieszka. Ona ma kontakt z kimś z...

Jaruga: (ryczy)

— Z kim? Z kim do diabła?

Niedźwiedź:

— Z UB.

Jaruga krzyknął do sekretar-

ki:

— Przynieś podejrzanemu

bardzo mocnej herbaty.

Sekretarka przyniosła szklaną wypelnioną prawie czarną herbatą. Jaruga sam podawał więźniowi herbatę. Trzymał mu ją przy ustach, póki nie wypił.

Jaruga:

— Z kim w PUBP w R. ma kontakt „Zenka” i jakie przywiozła instrukcje do leśniczówki Graby.

Niedźwiedź:

— Powiedziała, że po mieście kręci się jakiś facet z UB z Warszawy. Na imię mu Mikołaj. Nawiazał tu jakieś znajomości. Podobno wywęszył datę i godzinę naszego napadu na miasto. Przyszedł do PUBP i ostrzegł. Ale ostrzegł właśnie tego, z którym kontakt ma „Zenka”. Więc dał on znać „Zence” a ta przyjechała do nas, że trzeba tego Mikołaja sprzątnąć... Sprawa była pilna, nie miałem prawa czekać na rozkaz od Rokity. Zdecydowałem sam usunąć faceta, pojechałem do miasta z „Kuropatwą”. „Zenka” wskazała faceta, kropnął go „Kuropatwa”.

Niedźwiedź umilkł. W pokoju trwała prawie zupełna cisza. Denerwująco skrzypiało pióro Jarugi sporządzające protokół.

Jaruga:

— Powiedźcie, kto z PUBP w R. był członkiem waszej organizacji lub z nią współpracował?

Niedźwiedź:

— Nie wiem. Kontakt z tymi ludźmi utrzymywała „Zenka”.

Jaruga:

— Podajcie jej rysopis, adres lub miejsce, gdzie można ją spotkać.

Niedźwiedź:

— Nie znam adresu. Nie wiem, gdzie można ją spotkać. „Zenka” należy do naszego wywiadu, a wywiad działa w pełnej konspiracji.

Jaruga:

— Podajcie rysopis „Zenki”.

— „Zenka” jest mała, ma rudawe włosy. Oczy niebieskie, bardzo szeroka w biodrach. Lat chyba dwadzieścia. Ostatnio widziałem ją w czarnym kostiumie. W sprawie współpracujących z nami UB-owców wiem tylko tyle, że jest ich dwóch albo trzech. Jeden z nich pracuje w UB jako wartownik. Drugi zaś ma jakąś bardzo wysoką funkcję. To do niego zgłosił się ten porucznik, którego potem trzeba było zabić. Zresztą, on musi mieć dobrą funkcję skoro... zwolnił z więzienia „Romana”, wówczas adiutanta Rokity. „Roman” wpadł przez głupstwo. Znaleźli u niego lak i pieczętkę naszej organizacji. Zwolniono go prawie natychmiast.

Jaruga:

— Kiedy to było?

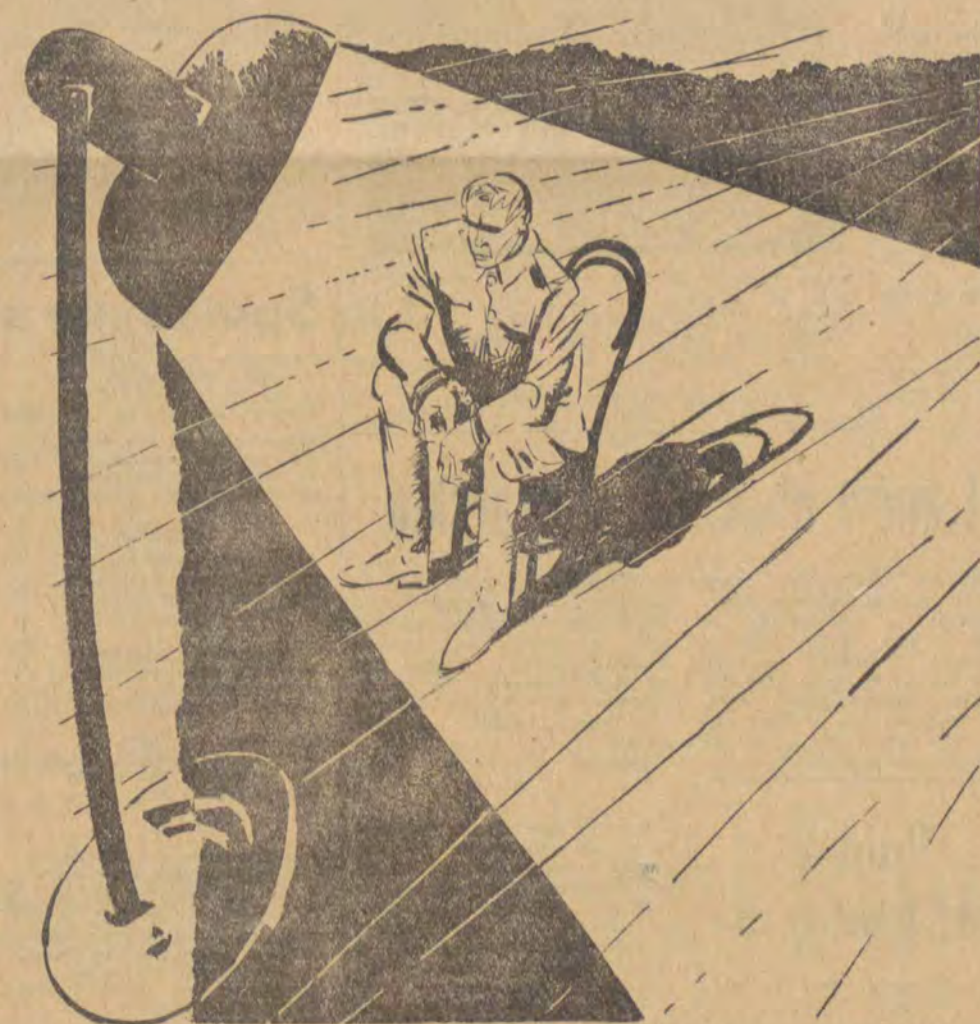
Niedźwiedź:

— Kiedy? W styczniu. Więcej nie wiem.

Jaruga zawołał strażników i rozkazał wyprowadzić więźnia.

d.c.n.

odgłosy str. 11



leżącej do oddziałów SOS czyli Służby Ochrony Społeczeństwa. Bezpośrednio podlegaliśmy „Kierownictwu Walki z Bezprawiem”.

Jaruga:

— Jaką działalność prowadziło tzw. „Kierownictwo Walki z Bezprawiem”?

Niedźwiedź:

— „Kierownictwo” to miało szukać informacji obciążających obecne władze państwowe, zajmowało się zbieraniem danych do opracowywania aktów oskarżenia przeciwko walczącym z nami ludziom, a następnie dawało rozkazy likwidacji osób, które się nam naraziły.

Jaruga:

— Czy takie właśnie „akty oskarżenia” preparowało „Kie-

— Nie. Przeprowadzaliśmy także akcje „zaopatrzeniowe”, zdobywaliśmy pieniądze i żywność dla naszej organizacji. Przeprowadzaliśmy wszelkie akcje zbrojne, np. napad na R.

Jaruga:

— A więc napad na R. był dziełem Służby Ochrony Społeczeństwa?

Niedźwiedź:

— Tak.

Jaruga:

— Ile specjalnych grup operacyjnych miała S. O. S.?

Niedźwiedź:

— Nie wiem.

Jaruga:

— Nie wiesz? Kto wydał rozkaz zabicia porucznika Mikołaja L. z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego?

Niedźwiedź:

ropatwy”. Chameczyk Józef. Wysoki, ciemny blondyn, szczupły, lat 25—26, włosy czesane do góry, oczy szare, nos długi, usta cienkie. Ubrany w czapkę narciarską, kurtkę koloru zgnió zielonego, z szarym szalikiem cienkim. Buty oficerskie, spodnie zielone, wojskowe, wyburzałe albo pluszowe w paski barwy brązowej. Rękawiczki skórzane. Kontakt na niego można uzyskać u jego rodziców we wsi Chrzęszczów, gdzie od czasu do czasu przychodzi na obiad. Zresztą... on już w lesie. Teraz nosa z lasu nie wyśledzi, skoro ja wpadłem.

Jaruga:

— Dlaczego zabiłście porucznika L.? Czy i na niego wydano „wyrok”?

Niedźwiedź:

GROZNY POŻAR ZNISZCZYŁ spółdzielnię „Guzik z Pętelką” Żywioł szaleje aż miło!

JUŻ na godzinę przed niespodziewanym wybuchem groźnego pożaru w spółdzielni „Guzik z Pętelką” nasz reporter jest na miejscu. Kilka minut później nie używając syren alarmowych, spokojnie podjeżdżają przed kilkupiętrowymi gmachami spółdzielni czerwone auta strażackie. Milicjanci ze służby ruchu dyskretnie kierują zainteresowanie przechodniów w inną stronę, wołając: — bociany, bociany!

— Spokojnie — mówią cichym melodyjnym głosem — jak ma wybuchnąć — to wybuchnie.

Dowodzący mającą nastąpić akcją ratunkową znany nam dobrze generał pożarnictwa sprawdził krany i kurki wodne po czym, zajęty się czytaniem powieści pt. „Ogniomistrz Kaleń”.

— Każda wolna chwila należy wykorzystać na dokształcanie się w zawodzie — oświadczył prasie — aby wspinać się szybko po szczeblach drabiny strażackiej.



Tymczasem z bramy spółdzielni „Guzik z Pętelką” spokojnie gwarząc, wśród śmiechów i dowcipnych powiedzonek, zaczęli wychodzić przyszli pogorzelnicy. Każdy wynosił zawiązaną najpotrzebniejszą mu banknotów. Jak zwykle największy ciężar przypadł w udziale prezesowi i członkom zarządu spółdzielni, którzy dosłownie upadając ze zmęczenia targali po czterech — pięciu workach.

Nasz reporter spogląda na zegarek. Wszystko wskazuje na to, że pożar wybuchnie za chwilę. Strażacy sięgają do hydrantów. Ale spocyni prezes spółdzielni podbiega do nas i krzyczy:

— Spokojnie! Jeszcze główny księgowy nie oblał benzyną działu księgowości. No, co stoicie? Podrzućcie tam parę karnistrów.

Mimo to z okien na pierwszym piętrze wychwytują czerwone języczki płomienia. Nie wierzymy własnym oczom. Bo oto jak za dotknię-

ciem czarodziejskiej różdżki zaczyna się palić jednocześnie piętro, drugie, trzecie, czwarte, a dziwnym trafem od dachu zajmują się piwnice. Po chwili cała spółdzielnia „Guzik z Pętelką” jest prześlicznym słupkiem płomyków i podpalonych.

— Woda naprzód! — słychać głos generała. Do funkcjonariusza MO podbiega zrozpaczo-



ny prezes spółdzielni. — Ktoś skradł mi portfel z bilonem — woła przez lzy. Milicja natychmiast zatrzymuje kilkunastu podejrzanych gapiów.

Strażakom jest coraz cieplej. Kiedy generał nie patrzy, nawzajem polewają się wodą — wesolo pokrzykując — „śmigus-dyngus”! Wezwuź się ognia jaki tryska z drugiego piętra świadczy, że eksplodowała księgowość. Westchnienie ulgi wyrwa się z piersi zarządcy.

Pożoga w międzyczasie szaleje. — Woda na sąsiednie domy! — komenderuje nagle prezes spółdzielni. Ratować gmach z prawa i lewa!

— Po co? — dziwi się generał straży. Na lewo jest spółdzielnia „Postępowa podwiązka”.



a na prawo „Słodkie życie”. „Podwiązka” — o ile mi wiadomo — miała się palić za tydzień, a „Słodkie życie” pojutrze. Czy nie można przy okazji dać im się odpalić? Prezes spółdzielni znacząco stuka się w czoło.

— Panie, i co kto z tego będzie miał?

I znów chochliki drukarskie

Chochlik drukarski znów spłatał nam brzydkiego figla. Pisaliśmy z oburzeniem, że wyrodny syn Apollo January P. mimo napomnień nie chcełożyć na utrzymanie swojego starego, schorowanego ojca. Apelowaliśmy do władz, aby poczyniły zdecydowane kroki

w kierunku syna. Okazuje się jednak, że to nie Apollo January niełożył na starość ojca, a ojciec na starość Apollo January. Apollo jest na ogół małoletni (sześć do siedmiu lat). Wobec ojca, a nie Apolla, należy poczynić kroki!

* * *

Drugi chochliczek spłatał figla tak zabawnego, że cała nasza redakcja pokładała się ze śmiechu. Donieśliśmy w rubryce „Reporter zanotował” że Jan S. rozłupał siekierą czaszkę Kazimierzowi K. w czasie bójki o miód. Otóż dzwoni do nas wczoraj zainteresowany nieboszyk i przeprasza, że żyje! To — wyjaśnia — on rozłupał czaszkę Janowi S. po prostu z braku innych rozrywek w jego wsi!

Wobec tego odnośnie władze zapytujemy: A gdzie życie świetlne? A gdzie kółko hodowlane?!

Pogoń za brakiem

Zakłady państwowej wlewnicy fundusze przeznaczone na cele popularyzacji kultury i oświaty wydają już nie tylko na organizację grzybobrań, ale również na sport masowy. Radę Zakładową wymienionych zakładów nasz fotoreporter spotkał podczas jesienno-biegów pn. „Pogoń za brakiem”.

ŻŁOTA MYSL:

Pieniądze szczęścia nie dają.
Tym co ich nie mają.

Sport * Sport * Sport

Czy „Społem” rozgryzie „Pierniki”

Przyjeżdża do Łodzi toruńska drużyna kosa — „Twardo pierniki”. Spotkają się ze „Społem” jedyńm naszym reprezentantem tysiąca komińców i bawelny. Rzesze miłośników kosa z wysokim napięciem oczekują tego meczu. Czy „Pierniki” rozłupią „Społem” czy „Społem” rozgryzie „Pierniki”? That is a question. Użytej metafory nie należy rozumieć. Gryzienie w koszykowie to faul. Chyba, że sędzia nie widzi.

A jak widzi to Cześć jego pamięci.*



15 listopada „Express Ilustrowany” skończył 5 lat

Co słysząc w ZOO



Rewelacją łódzkiego ZOO stała się stonoga. Zwierzę to ostatnio doznało złamania 37 nóg i przeszło nad tym do porządku obrad. Z nowych nabytków wymienimy mateczniki żubrów i żeremia. Misie otrzymały na zimę nowe futerka nylonowe. Są one trwalsze i chłodniejsze. Lew jest królem zwierząt. Słoń trąbi. A weże syczą: sss... ssss... sssss... Problem leży jednak wśród małp. Ale co z tego? Oto kukułka, zła wyrodna matka.

Wcześniejsze chłody na widowniach wróżą jesienny odlot aktorów

Jak zwykle jesienią odlatują od nas do cieplejszych posad ci aktorzy, którzy w okresie ostatnich miesięcy obrośli w piórka. W Łodzi zimować będą osobniki słabowite, bądź też z podciętymi lub złamanymi skrzydłami. W celu przesiedlenia szlaków jesiennych odlotów aktorów Wydział Kultury zamierza wprowadzić obręcz kowanie.

Spotkajmy się z piosenką

Spotkajmy się z piosenką. Piosenka skłina nam rękę. A my jej z niema uderką. Spotkajmy w oczą z podzięką. Piosenka — ta luba melodia. Ochroń nas czasem od ognia. Powodź czyni też zadość. W piosence jest coś tam i radość.

REFREN:

Spotkania. Spotkania. Czas pieszczot i śpiewania. Gdy Tadzio lub Jurek. W duecie nuca chórem:

„Expressie”, „Expressie”. Już hula wiatr po lesie. I jesień nam niesie. Upoję złudnych czar...

Twe oczy, twe usta. Rozkoszy to upusta. Jak w młynie, tak płynie. Miłości naszej żar.

II

Spotkajmy się z panienką. Panienka skłina nam rękę. A my jej z niema uderką. Spotkajmy w oczą z piosenką.

Panienka — co luba jest co dnia. Ochroń nas czasem od ognia. Powodź czyni też zadość. W panience jest coś tam i radość. I refrenik. Chórkien:

REFREN:

Spotkania, spotkania itd.

NOWE ŚRODKI komunikacji miejskiej



Powodowane licznymi prośbami „Expressu” Przedsiębiorstwo Komunikacji Miejskiej z dniem jubileuszu 5-lecia gazety wprowadza na

ulice miasta nowy typ pojazdu samoobsługowego. Z tytu widoczne dyskretnie pomieszczenie dla kontrolera.

Skąd ja pana znam?

Twarz wydała mi się doskonale znajoma. Złapałem twarz za rękaw.

— Skąd ja pana znam — rzuciła po ekspresowemu.

— Milczenie. Znajome milczenie.

— Skąd ja pana znam? Wiem, pan jest tym uprzejmym konduktorem który wykrzykuje na głos nazwy ulic. Nie? Jest pan sędzią który mnie uniewinnił? Też nie, Tenorem operetki? Nauczycielem greki?

Milczenie. I ten wymowny, dobrze znany błysk oka. I coś niby, że psst...

— Już wiem. — krzyknąłem. Przychodnie przystąpił. Obejrzał się i powiedział chórem: Co on tak męczy tego ściśle tajnego wywiadowcę MO?

JĘZYK na CO DZIEŃ



A tak oto powinien wyglądać język w dni świąteczne

Wywiad ze staruszką

Gościmy w naszej redakcji obywatelkę staruszkę. Obywatelka staruszka stwierdza na podstawie posiadanych dokumentów że liczy sobie 136 lat. Mimo to nie wypada nam pytać o wiek. Przecież to kobieta.

Tak więc nie pytając wiemy, że Felicita Gwoździć ma 139 lat i zadajemy jej kilka pytań.

— Czy pamięta pani Napoleon?

— Zaraz, zaraz? Czy to taki mały kapral w pierogu na głowie? Pamiętam, pamiętam! I taką piosenkę pamiętam co mi ją mamusia do snu śpiewała „Napoleon nosił rapier...” dalej nie pamiętam, ale co to za kołysanka była panie, nie taka jak dzisiaj...

— A kogo jeszcze pamięta cie babciu?

— Fryjka Szopena, Janka Matejkę, Bolka Busiakiewicza...

— Pewnie wiele zapomnie liście, prawda?

— Co trzeba to zapominać, pewnie, człowiek chce jeszcze te kilkadziesiąt lat spokojnie pożyć.

— A co takiego zapomnie liście?

— Raz to się z jednym oficerem zapomniałam... a że dwadzieścia lat potem to... nie łatwo spać...

Zegnany pełną życia staruszką w której oczach zapala się figlarne płomyki młodości.



A oto nasz nowy nauczyciel śpiewu

Wielki konkurs „Expressu” i PKO

(Wyłącznie dla błyskawic intelektu i gwiazd dowcipu).

Oto pytanie: Co to za instytucja, do której można złożyć pieniądze? W której można wygrać samochód? Której skrót jest trzyliterowy? A pierwsza litera tego skrótu jest taka sama jak litera zaczynająca słowo Porter? Druga litera jest inna. Znajduje się na początku słowa Krowa. Trzecia zaś zupełnie inna. Tę samogłoskę otwartą wymawiamy np. przy okazji okrzyku „O! jaki trudny konkurs”.

Odpowiedzi przysyłać do naszej redakcji. Jak najszybciej. Nagroda sz-czeka.



OD SOBOTY DO SOBOTY PRZEZ KAZIMIERZA MIOZLEWSKIEGO

ENTLICZEK, PENTLICZEK, CZERWONY STOLICZEK, NA KOGO WYPADNIE, TEN BĘDZIE KRYK!